DUNAJEC

Nowosądecki tygodnik PZPR

Nr 42 (467)
15 października 1989 r.
Cena 120 zł

PL ISSN
0208-5968
Nr indeksu 35657

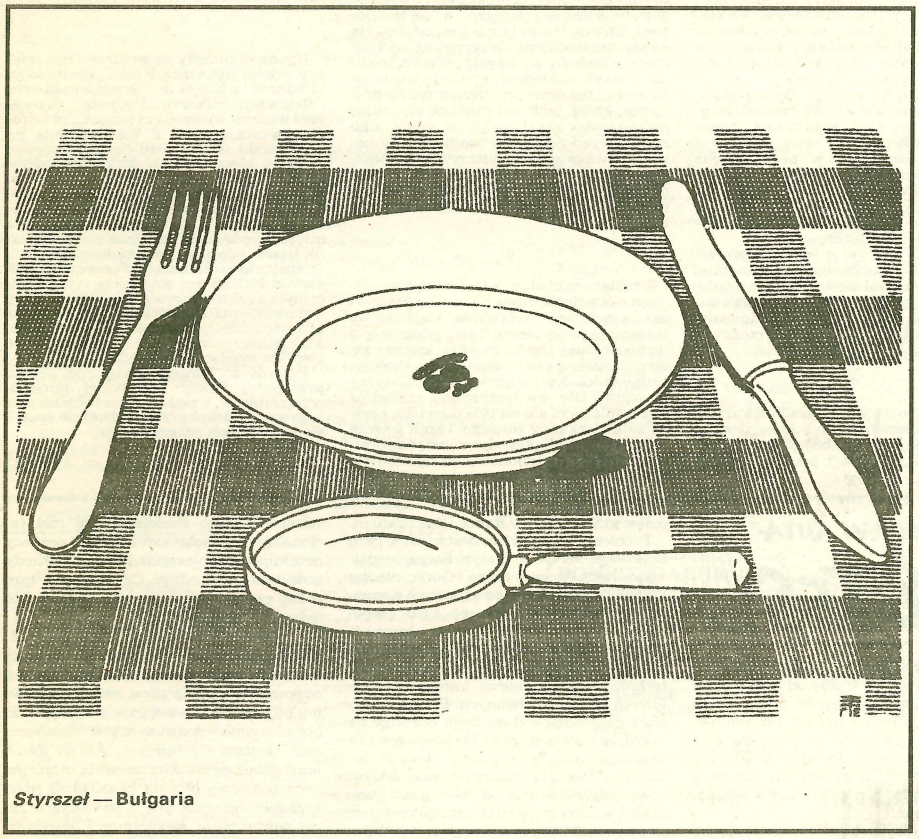

Styrszeł — Bułgaria

Lucyna Kaszuba

Jaka partia?

Wiele gorzkich słów padło podczas ostatniego Plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Obok krytyki pojawiły się także propozycje — jak odnowić i przebudować partię. Ile głosów, tyle poglądów i recept, niekiedy zalecających dość ryzykowną kurację. Zanim doszło do dyskusji, o sytuacji w partii oraz konieczności znalezienia wspólnego języka przed XI Zjazdem mówił I sekretarz KW, **Antoni Rączka**:

— Nagminna krytyka przeszłości i obarczanie winą za wszystkie niepowodzenia gospodarcze systemu sprawowania władzy nie przysparzają autorytetu partii. W wielu organizacjach podstawowych zamarło życie polityczne, powstał ideologiczny zamęt, są przypadki składania legitymacji członkowskich oraz presji grup środowiskowych w zakładach pracy. Przykładem mogą być wydarzenia z 28 września, kiedy to w ZNTK grupa manifestantów zażądała wyprowadzenia organizacji partyjnej z zakładu. W Białym Dunajcu przewodniczący „Solidarności" Rolników Indywidualnych zwrócił się do Gminnej Rady Narodowej o przydzielenie lokalu Komitetu Gminnego PZPR. W Czarnym Dunajcu naczelnik gminy, obrażony nałożoną nań karą partyjną, złożył legitymację i wymówił Komitetowi Gminnemu wynajmowane w Urzędzie Gminy pomieszczenie. Do takich przypadków musimy odnieść się z dezaprobatą i stanąć w obronie członków partii. Nie mogą zostać sami.

Nie brak także zjawisk pozytywnych. Świadczą o tym spotkania i dyskusje aktywu, ożywienie w niektórych POP. Widać troskę o przyszłość partii oraz losy polskiej lewicy. Nie wszyscy sojusznicy odwrócili się od nas. Rozkład dawnej koalicji nie oznacza zerwania więzów ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym na szczeblach podstawowych i wojewódzkim. Łączy nas wiele wspólnych interesów. Liczącą się siłą pozostają Związki Zawodowe zrzeszone w OPZZ oraz organizacje młodzieżowe.

Sytuacja w partii wymaga jak najszybszego zwołania XI Zjazdu. Nowy układ polityczny, w którym PZPR przestała pełnić przewodnią rolę, a zaczęła zbierać

(CIĄG DALSZY NA STR. 10)

Stefan Ciepły

Przywiezione z Limanowej

Nie było jeszcze tak, żeby Limanowa czymś nie zaskakiwała. Tym razem pierwsza niespodzianka czekała mnie na dworcu PKS. Na frontonie budynku rozpięto transparent: *SEJM I SENAT GWARANCJĄ ROZWOJU DEMOKRACJI*. Białe litery na czerwonym tle uderzają w zupełnie inną strunę, niż to było we zwyczaju, a kto wie, czy to nie pierwszy w kraju zwiastun przeobrażeń w sferze propagandy. Tłok na dworcu miał jednak charakter normalny. Druga niespodzianka czekała mnie w sali obrad, które prowadził z właściwą sobie swadą **Bronisław Smoleń** z Męciny, słynny producent kijów hokejowych i sponsor polskiego hokeja; w pierwszym rzędzie siedział młody inżynier-rolnik z miejscowego ośrodka postępu rolniczego, członek ZSL — **Bronisław Dutka,** od paru miesięcy naczelnik miasta i gminy; nie było natomiast na sali chmurnej twarzy człowieka, któremu Limanowa zawdzięcza najwięcej — **Jan Kubowicz** przeszedł na emeryturę; brakło też reprezentacji Komitetu, który zajęty jest teraz zapewne innymi problemami. Czy ważniejszymi?

Sesja rozpoczęła się od interpelacji radnych. Słowem, od wysypania tego worka kłopotów, z którymi borykają się na co dzień mieszkańcy 23 wsi i samego miasta. Jakby nie patrzeć, jest w owym porządku obrad pewien sens, polegający na „upodmiotowieniu" radnych, jak byśmy to dziś powiedzieli. Sprawy, które stawiają, nabierają pierwszoplanowego znaczenia, a ich referenci wiedzą, że zdążą przedstawić sesji opinie swoich wyborców i nie zostaną one zlekceważone.

Do interpelacji jeszcze powrócimy, teraz zajmijmy się przedstawieniem problemów limanowskiej oświaty, tak jak to ujęto w przygotowanych wcześniej i rozesłanych radnym materiałach, jak i w wystąpieniu zastępcy naczelnika, **Józefa Chrzanowskiego,** który wygłosił wprowadzenie do dyskusji.

Zacznijmy od przedszkoli. Jest ich 11 i obejmują wychowaniem przedszkolnym 44,2 proc. populacji, co sytuuje Limanową poniżej średniego wskaźnika w województwie. Każdego roku przeszło 100 rodzin nie uzyskuje miejsca dla swojego dziecka w przedszkolu. A równocześnie miejscowe zakłady pracy nie wykazują żadnego zainteresowania tym problemem; nie ma w Limanowej ani jednego przedszkola przyzakładowego, zaś idea — rzucona już parę lat temu przez naczelnika Kubowicza — budowy wspólnego międzyzakładowego przedszkola — nie spotkała się z żadnym odzewem.

Nie znam kondycji finansowej limanowskich zakładów pracy, ale jest chyba coś niewłaściwego w tym, iż przykładowo na remonty kapitalne placówek oświatowych w gminie całość wydatków zaplanowano na 70 mln zł, gdy tymczasem zakłady pracy z zewnątrz, organizujące w tych obiektach tylko kolonie wakacyjne dla swoich dzieci, dały na ten cel 120 mln zł.

Jeśli chodzi o szkolnictwo podstawowe, obejmujące obowiązkiem nauczania 5670 dzieci, to najlepszą wizytówką jego poziomu jest fakt, iż prawie 100 procent absolwentów szkół podstawowych podejmuje dalszą naukę. Zbyt mało natomiast dzieci przystępuje do olimpiad i konkursów przedmiotowych (ok. 150); gdy najlepsze szkoły w Polsce przekraczają rozmiarem uczestnictwa dziesięć procent populacji, tutaj — nieledwie trzy procent. Ale są przecież gorsze gminy.

W Limanowskiem jest 18 szkół podstawowych, ośmioklasowych i 5 o niepełnej liczbie oddziałów lub klasach łączonych. Głównym problemem jest oczywiście baza oraz tragicznie się pogarszający stan wyposażenia szkół w pomoce dydaktyczne, a nawet w elementarny sprzęt. W tym roku np. nie kupiono w żadnej szkole ani jednej ławki czy stołka, wszędzie drastycznie ograniczono zakup książek do bibliotek, prenumeratę czasopism, uzupełnianie sprzętu sportowego.

Stan obiektów szkolnych jest w niektórych miejscowościach koszmarny, a normy przegęszczenia — przekroczone nawet dwukrotnie. No bo jak zorganizować normalny tok nauczania w szkole podstawowej w Kłodnem, która liczy sobie 8 klas, a posiada zaledwie 4 sale lekcyjne? Niektóre budynki szkolne nie nadają się nawet do remontu. Najgorsza sytuacja pod tym względem jest w Mordarce, Starej Wsi, Pisarzowej, Starym Rybiu i Szkole Podstawowej nr 2 w Limanowej.

Jeśli chodzi o kadrę nauczycielską, to nie jest najgorzej. 44 proc. nauczycieli posiada wykształcenie wyższe, 37 proc. ukończyło studium nauczycielskie, 19 proc. legitymuje się średnim wykształceniem pedagogicznym. Ilu nauczycieli w tej ostatniej grupie ma tylko wykształcenie średnie ogólnokształcące i kurs przysposabiający do zawodu — nie mówiono, zwracano natomiast uwagę, iż gmina nie może sobie pozwolić na zatrudnienia nauczycieli o najwyższych nawet kwalifikacjach z zewnątrz, gdyż nie dysponuje stosowną rezerwą mieszkań. A przecież pożądani są ogromnie nauczyciele języków obcych, zwłaszcza angielskiego, fizycy, poloniści. Niestety, nauczycielska spółdzielnia mieszkaniowa „Albatros" — jak nie bez ironii stwierdziła przewodnicząca Komisji Oświaty radna Anna Jasica — charakteryzuje się niskimi lotami i jak dotąd grzebie się przy fundamentach pierwszego budynku, fatalnie zresztą zlokalizowanego.

Nieźle jest tylko w szkolnictwie średnim, które dysponuje wystarczającą rezerwą lokalową, by całej limanowskiej młodzieży umożliwić dalszy tok kształcenia.

Ale taki obraz oświaty można by zarysować w każdej gminie naszego województwa, nie ujawnia on wszakże tych specyficznych problemów, które się ujawniły w tym roku i zadecydowały o zwołaniu sesji rady narodowej.

* * *

Oto bowiem wynoszący 634 mln zł budżet limanowskiej oświaty (z którego 553 mln pochłaniały wynagrodzenia, składki na ZUS, koszty dowozu dzieci do szkół oraz pomoc finansowa dla rodzin zastępczych, zaś 80 mln koszty zaopatrzenia szkół w opał, opłaty za energię elektryczną, gaz, wodę, ścieki, środki czystości, czynsze, bieżące remonty, zakup książek i czasopism) — otóż ten właśnie budżet, wskutek stuprocentowego wzrostu cen, skurczył się w dwójnasób. Owszem, wyrównano decyzjami centralnymi niedostatek środków na podwyżki płac, ale resztę pozostawiono na niezmienionym poziomie.

I nastąpiła tragedia. Nauczycielom, dyrekcjom szkół, nadzorowi pedagogicznemu nie wypłaca się zwrotu kosztów delegacji służbowych. Nie pokrywa się im także (mimo gwarancji zawartych w Karcie Nauczyciela) kosztów dojazdu i noclegów, jeśli podnoszą gdzieś w akademickim mieście swoje kwalifikacje zawodowe. Nie zwraca się kosztów wynajmu

(CIĄG DALSZY NA STR. 6)

ILE ZA CO?

Dolary. Nowosądeccy „cinkciarze" sprzedawali 11 października bony po 6800 zł, dolary — po 7500 zł. W kantorze walutowym PKO dolary były droższe o 200 zł, marki zachodnioniemieckie kosztowały 4200 zł, funty — 12 400 zł, franki francuskie — 1350 zł, franki szwajcarskie — 4400 zł, szylingi austriackie — 580 zł, bony — 7600 zł.

Najdroższe danie mięsne podawane w sądeckiej restauracji „Imperial": zraz bity ze schabu w sosie węgierskim — 6394 zł. Danie najtańsze — zupa mleczna z ryżem — 94 zł.

Maślany rynek. Jajka — od 170 do 200 zł. Kilogram truskawek — 2 tys. zł, gruszek — od 1200 do 1500 zł, jabłek — do 900 zł, kopa orzechów włoskich — od 1800 do 3000 zł. Mały koszyk rydzów — 5 tys. zł, duża kobiałka opieńków — 10 tys. zł. Pięciokilogramowy kabaczek — 1000 zł, kilogram ogórków — od 900 do 1300 zł, pomidorów — od 1000 do 2000 zł, ćwikłowych buraczków — 250 zł, fasoli szparagowej — 600 zł, zielonej papryki — do 2500 zł. Kilogram cebuli — 400 zł, marchewki — od 300 do 400 zł, litrowa miarka grochu „jaśka" — 700 zł. Sześciolitrowa miarka pszenicy — 1700 zł, półlitrowa butelka miodu lipowego — 7,5 tys. zł, duży, żywy kogut — 8 tys. zł. Dorodna chryzantema — 500 zł, gerbera — od 400 do 500 zł.

Mięso. Kilogram karczku — od 9 do 10 tys. zł, boczku — 8 tys. zł, łopatki — 11 tys. zł, rozbratla — od 7 do 8 tys. zł. Cielęcina od 7 do 9 tys. zł.

„Ciuchy". Damskie, ocieplane „ogrodniczki" — 35 tys. zł, irchowe rękawiczki — 12 tys. zł, zimowe, skórzane kozaczki na wysokim obcasie — 110 tys. zł, jedwabna apaszka — 13 tys. zł. Czechosłowackie trampki — 20 tys. zł, kolorowa, ortalionowa saszetka na pasku — 15 tys. zł, wełniane skarpety — 7 tys. zł, męska, zagraniczna koszula z delikatnego lnu — 55 tys. zł. Damski zegarek elektroniczny, wbudowany w plastykową bransoletkę — 25 tys. zł, duży komplet kreślarski — 60 tys. zł, lekarski termometr — 1,5 tys. zł, elektryczna grzałka do herbaty — 3,5 tys. zł. Zardzewiały, stalowy wihajster niewiadomego przeznaczenia — 1000 zł.

NOWOTARSKIE SPRAWY

Uchwała Miejskiej Rady dotycząca zniesienia w Nowym Targu szczególnego trybu najmu lokali zapadła wiosną, ale by nabrała mocy prawnej, musi ukazać się drukiem w Dzienniku Urzędowym województwa.

Zniecierpliwieni właściciele kamienic w rynku i w przyległych ulicach na własną rękę próbowali się w międzyczasie pozbyć niepożądanych lokatorów. I niekiedy dość skutecznie, bo część sklepów zamknięto, kilka innych przeniesiono. Namnożyło się skutkiem tego butików.

Sklepy spożywcze, masarnie, piekarnie są jednak w obrębie rynku rzeczą konieczną — tak ze względu na dobro stałych mieszkańców i nowotarżan przyjeżdżających na zakupy z odległych dzielnic, jak i w interesie turystów odwiedzających stolicę Podhala tłumnie, zwłaszcza latem. Trudno nazwać te placówki nieuciążliwymi dla gospodarzy budynków, ale tutejsza społeczność upomina się o nie — tym bardziej, im ciężej zaopatrzyć się w podstawowe dobra, im bardziej Wydziałowi Handlu wymyka się z rąk władza nad „gestorami". Z utrzymaniem sieci sklepów i względnej równowagi w podaży będą mieli gospodarze miasta nie lada kłopot. Cóż, złoty środek między wolnością a koniecznością niełatwo znaleźć, jeszcze trudniej zadowolić wszystkich przy jawnej sprzeczności interesów.

Na razie pytającym o termin uprawomocnienia się uchwały nowotarskiej MRN odpowiedział obecny na wrześniowej sesji radny WRN, Władysław Gawlas, odpowiedział, że nastąpi to po podpisaniu i złożeniu do druku Dziennika Urzędowego, czyli w połowie października.

★

Ostre niedobory w budżetach stwarzają dramat niedokończonych budów, dramat inwestycji pilnie potrzebnych a wciąż dalekich od ukończenia i pochłaniających przez nierychliwość wykonawców coraz to większe kwoty, także dramat przedsiębiorstw niezdolnych utrzymać się bez dotacji. Stolica Podhala nie gospodarowała źle swoimi środkami, ale ponieważ zaawansowane budowy wymagają teraz szczególnie dużych nakładów, sytuację niedoboru można już teraz przetłumaczyć na prognozy, które, jeśli nie znajdzie się jakieś rozwiązanie, urealnią się w zimie albo nawet przed zimą: nad szpitalem rejonowym zawisła groźba wstrzymania robót, kończą się środki przeznaczone na rozbudowę Stacji Uzdatniania Wody w Szaflarach, czerwone autobusy WPK mogą stanąć.

★

Problem zakładów kuśnierskich w różnych postaciach wraca na biurka pracowników ochrony środowiska, staje też na forum Miejskiej Rady. Tam, gdzie w grę wchodzi duży zysk, zwykle kurczy się wyobraźnia, a tzw. świadomość ekologiczna zanika. Jeśli w ogóle... była. Dotyczy to wprawdzie nie wszystkich zakładów kożuszniczych, ale na tyle dużej ich części, że mieszkańcy Nowego Targu jeszcze długo będą mieli powody czuć się zagrożeni sposobem funkcjonowania rejestrowanych i nierejestrowanych zakładów kuśnierskich, a miasto jeszcze długo nie będzie mogło powiedzieć, że — samo podtruwane — nikogo więcej nie truje.

Naczelnik miasta, Stanisław Ślimak, oświadczył na podstawie zapewnień kierownictwa „Fursu", że zakład zlokalizowany przy ul. Szaflarskiej i dający się we znaki zwłaszcza mieszkańcom osiedla Zawadzkiego, przeniesiony będzie do nowych obiektów „do końca pierwszej dekady listopada".

Protest mieszkańców ul. Kowaniec przeciwko zakładowi kuśnierskiemu (organizowanemu tam w spółce z obywatelem RFN) czeka, aż stanowisko w tej sprawie zajmie Wydział Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego i Prokuratura Rejonowa w Nowym Targu.

★

Ugodą skończyły się kontrowersje między sekcją piłkarską Klubu Sportowego „Podhale" a Miejskim Ośrodkiem Sportu i Rekreacji. Piłkarze „Podhala", przerażeni wpierw wiosennym cennikiem Ośrodka, wracają teraz z Waksumunda na nowotarski stadion i tu będą rozgrywać mecze — kierownictwo MOSiR zaoferowało im tak znaczne ulgi, że mecz seniorów będzie kosztował Klub tylko 10 tysięcy złotych, a dwa mecze juniorów i trampkarzy — łącznie 15 tysięcy. Warunki w mieście będą mieli piłkarze nieporównanie lepsze, odpadnie też uciążliwość dojazdu i transportowania sprzętu. Ponieważ jednak stadion MOSiR jest stadionem reprezentacyjnym a nie treningowym, i płyta nie może być nadmiernie eksploatowana, formę będą piłkarze szlifować jeszcze w Waksmundzie, a od wiosny — może już na własnym, choć niepełnowymiarowym boisku.

Powrót do Nowego Targu na pewno przysporzy sekcji piłkarskiej miejscowych kibiców, a zasługują na to zwłaszcza juniorzy i trampkarze, bo dzielnie spisali się w ostatnich rozgrywkach.

(szop.)

STANISŁAW KUTA NOTES

Nikogo nie trzeba już przekonywać, że gaz jako paliwo jest lepszy od węgla. Metr sześcienny gazu zastępuje 4 kg węgla grubego spalanego w bardzo dobrym piecu. Warto też pamiętać, że przy spalaniu gazu do atmosfery dostaje się 60 razy mniej szkodliwych związków, niż przy spalaniu węgla. A ponadto o ileż wygodniejszy jest gaz!

Niestety, dla większości mieszkańców wsi i małych miast paliwo to jest wciąż niedostępne. Proces gazyfikacji może ulec zahamowaniu z powodu ograniczenia dostaw gazu, mogą wziąć w łeb — z tego samego powodu — plany użycia gazu do celów grzewczych w Rabce i Zakopanem.

Problemu nie rozwiąże dostarczanie gazu butlowego. MPGK w Starym Sączu, zaopatrujące rejon Nowego Sącza i Gorlic, nie jest w stanie obsłużyć w zadowalającym stopniu swoich odbiorców. Obecnie 5150 gospodarstw (w tym — 2390 na wsi) otrzymuje średnio po 5 butli rocznie. 8 butli otrzymują mieszkańcy bloków, w których z powodów technicznych nie można instalować węglowych pieców kuchennych. Prawie 3,5 tysiąca gospodarstw domowych oczekuje na przydział instalacji i gazu. Do końca roku na realizację może liczyć jeszcze około 50 odbiorców. Dalsze rozszerzenie sieci odbiorców uzależnione jest od ilości gazu. jakie zakład w Starym Sączu otrzymuje z rafinerii za pośrednictwem rozlewni gazu w Nowym Targu (obecnie jest to około 370 ton, a potrzeba 660 ton, aby zaopatrzyć obecnych odbiorców oraz już zarejestrowanych).

★

W partii toczy się dyskusja nad jej przyszłością. Często emocje górują nad racjonalnymi przesłankami. Niemal wszyscy oczekują przyspieszenia XI Zjazdu. Kiedy powinien się on odbyć. Czy jeszcze w tym roku, czy na początku przyszłego? Oto jedna z wypowiedzi:

— Termin Zjazdu powinien być uzależniony tylko od dobrego przygotowania się do niego całej partii. Wpierw musimy odpowiedzieć sobie sami, czego oczekujemy od Zjazdu, a następnie przystąpić do opracowania podstawowych dokumentów — statutu i programu. Ale też Zjazd musi odbyć się w takim terminie, w którym znać będziemy główną konstrukcję przekształceń systemowych w państwie, w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym. Inaczej uchwały Zjazdu będą aktualne co najwyżej przez 2 — 3 miesiące. Stąd też odbycie Zjazdu z końcem stycznia jest chyba racjonalne. I do tego czasu powinniśmy zachować jedność partii.

Warto wiedzieć, że...

Kolejni dyskutanci dzielą się swymi przemyśleniami na temat przyszłości samorządów terytorialnych.

Władysław Chrobak — przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Nowym Targu:

— Obecnie nie ma odwrotu od postanowień „okrągłego stołu", efektem których były wybory do Sejmu i Senatu, a w konsekwencji — nowy rząd z dominacją sił będących w przeszłości opozycją. Jeżeli mamy w pełni stosować zasady demokratyzacji naszego życia społeczno-politycznego to przyszłe samorządy lokalne muszą być odzwierciedleniem zachodzących przemian. Przed wyborami do samorządów lokalnych należy dokonać gruntownego przeglądu aktywu w poszczególnych środowiskach. Trzeba to zrobić po to, aby postawić na najlepszych, na ludzi cieszących się autorytetem, prawdziwych działaczy społecznych. Z grona ubiegających się o wybór do nowych rad narodowych wyeliminować trzeba krzykaczy i karierowiczów, bez względu na przynależność polityczną, społeczną czy związkową. Kandydaci do samorządów powinni być poddani ocenie w tych środowiskach, które będą w przyszłości reprezentować. Samorząd winien cechować się formą przedstawicielską na wzór samorządów w państwach zachodnich, ale nawiązywać do naszej narodowej tradycji z początku lat pięćdziesiątych. Prawdziwa władza musi mieć pieniądze. Jest to podstawowy warunek skuteczności jej działania. Samorządy podejmą więc — jak sądzę — działalność gospodarczą w formie zakładów rzemieślniczych, małych przedsiębiorstw, spółdzielni. Będą też czerpać dochody z podatków od prywatnych przedsiębiorstw i rolników. Obawiam się jednak, że większość gminnych samorządów musi być dotowana. Nie wyobrażam sobie pozostawienia w gestii samorządów lokalnych spraw oświaty, kultury, ochrony zdrowia czy ochrony środowiska naturalnego, bez wsparcia z budżetu państwa. Byłbym za tym, aby na szczeblu podstawowym umiejscowić służbę rolną, natomiast architekturę, geodezję i nadzór oświatowy — w rejonach. W gestii WRN proponuję pozostawić m.in. gospodarkę komunalną o zasięgu wojewódzkim, przedsiębiorstwa państwowe, ważniejsze inwestycje z zakresu ochrony środowiska. Resztę spraw gospodarczych przekazałbym radom narodowym stopnia podstawowego. Samorząd w stosunku do administracji powinien pełnić rolę nadrzędną. Musi jednak istnieć między nimi ścisła współpraca. Naczelnik gminy powinien być wybierany, oceniany i odwoływany przez radę narodową. Uważam, że *naczelnik* jest najtrafniejszym mianem szefa administracji gminnej. Wójt kojarzy się raczej z poddaństwem chłopa i jego upokorzeniem, policyjnym drylem i sądownictwem. Nie jestem zwolennikiem tworzenia odrębnej administracji samorządowej. Administracja powinna zachować dotychczasowe kompetencje. Na wysoki autorytet rady narodowej, wyższy niż obecnie, musi się złożyć prestiż radnych. Podstawą autorytetu rady będzie też trafność podejmowanych uchwał i decyzji oraz samodzielność finansowa.

Maria Woźniak — przewodnicząca Gminnej Rady Narodowej w Laskowej:

— Jakie przyszłe samorządy? Tyle już było idealnych koncepcji. Przecież do tej pory też istniały dobre samorządy, dbające o wieś czy sołectwo i akceptowane przez środowisko. Niełatwo dzisiaj o poparcie społeczne dla tzw. ogólnych celów. Dużo łatwiej, zwłaszcza w środowiskach wiejskich, przekonać ludzi do spraw konkretnych, np. do gazyfikacji, budowy wodociągu, remizy, drogi. Środowiska wiejskie — zawsze aktywne — dotychczas czuły żal, że na wsi chcąc coś mieć, żyć lepiej — samemu trzeba zakasać rękawy i zabrać się do roboty. Na wsi w czynie społecznym buduje się przedszkola i szkoły, drogi i wodociągi, sklepy i remizy strażackie. Mieszkańcy miast uważają, że to wszystko należy im się od państwa.

Jak ma być w przyszłości? Nie mam przedwojennych doświadczeń. Znałam tylko Polskę powiatową i gminną. Myślę jednak, że do przyszłych samorządów należałoby wybrać ludzi, którzy — po pierwsze — chcą pracować dla środowiska, a po drugie — mają aprobatę społeczeństwa. Środowiska muszą ich w sposób świadomy wybrać w demokratycznych wyborach. Kandydatów mogłyby zgłaszać wszystkie organizacje działające na danym terenie, a także określone grupy wyborców. Do nowych rad — tak ja to widzę — powinni być wybrani w większości ludzie młodzi, wykształceni, z dużą dozą optymizmu, nie mający obciążeń przeszłością.

Głównym problemem przyszłych samorządów będą sprawy finansowe, zwłaszcza w gminach małych, pozbawionych zakładów pracy. Dochody z podatków i opłat lokalnych nie wystarczą. Niezbędne będą dotacje z budże-

Sesja sądeckiej Rady

Trzydziestu trzech sądeckich radnych nie uczestniczyło w ostatniej sesji. Rozpoczęto, jak zwykle, od interpelacji.

Krzysztof Kuliś postulował wyprowadzenie z „maślanego rynku" budek z odzieżą i kosmetykami. **Helena Wierna** protestowała przeciwko lokalizacji cieplowni w Biegonicach i pytała o termin ukończenia planu przestrzennego zagospodarowania tej dzielnicy. **Andrzej Leśniak** domagał się przebranżowienia lub likwidacji sklepu monopolowego „Feluś", **Eugeniusz Peciak** — uporządkowania ul. Kościuszki, **Wiesław Kądziołka** — dokończenia prac przy ul. Węgierskiej, **Janusz Gumularz** — odnowienia pasów na przejściach dla dzieci.

Nie wszystkie odpowiedzi na interpelacje satysfakcjonują radnych. **Anna Bochenska** stwierdziła, że w jej przekonaniu wiele spraw wnoszonych przez rajców jest połowicznie lub nie do końca załatwianych. Radną niepokoi na przykład sprzedanie kilku działek osobom spoza listy oczekujących. Prezydent zapewnił, że miasto zrobiło na tym dobry interes: nabywcy owych parcel deklarują uruchomienie punktów usługowych i odprowadzanie do kasy miejskiej... 15 procent swego rocznego dochodu.

Głównym tematem sesji było omówienie przygotowań do obchodów 700-lecia Nowego Sącza. Piętrzące się kłopoty zreferował przewodniczący Społecznego Komitetu Obchodów, **Marian Cycoń**. Wypowiedź ta sprowokowała szereg polemicznych wystąpień.

Jerzy Kalarus: — Opóźnienia w budowie hali widowiskowo-sportowej to między innymi wynik braku zainteresowania tą inwestycją poprzednich władz miasta. Obecnie także brakuje nadzoru nad tą budową. Ślizgawka nad Kamienicą miała być skończona kilka lat temu. Jej pierwotny koszt oceniano na 50 mln zł, dzisiaj mówi się o 220 mln zł. Nie „ruszono" także spraw z zakresu propagandy i informacji; co z Medalem 700-lecia, księgą czynów społecznych?

Proponujemy włączyć do obchodów jubileuszu 80-lecie Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego. Należy zweryfikować harmonogram przygotowań do jubileuszu oraz skład Społecznego Komitetu Obchodów.

Jerzy Masior: — 700-lecie Nowego Sącza to przede wszystkim rocznica historyczna, a nie komunalna czy oświatowa. Z otrzymanych materiałów dowiadujemy się, że prawie nic nie jest do zrealizowania. Trudno powiedzieć, z czym miasto wkroczy w następne 700-lecie. Pytanie — czy muszą to być aż tak wielkie inwestycje jak hala, most czy budynek NOT? A dlaczego kolektor nie nadaje się do tej litanii pobożnych życzeń?

Trzeba przepracować cały program, podjąć się zadań, które miałyby znaczenie dla miasta i jego mieszkańców. Mam na myśli rewaloryzację Starego Miasta, ale polegającą na gruntownej modernizacji, a nie tylko pomalowaniu budynków. Dlaczego w harmonogramie nie mówi się nic o zamku sądeckim? Kiedyś funkcjonował społeczny komitet jego odbudowy, trzeba ożywić jego działalność. Mamy w Sączu zabytkowy obiekt należący kiedyś do Pijarów. Obecnie mieści się w nim więzienie dla recydywistów, a dlaczego nie luksusowy hotel komunalny dla dewizowców? Kto zezwolił na zabudowanie jednej z głównych sądeckich ulic — ul. Lwowskiej — parterowymi domami? Przyjrzyjmy się jej sylwetce w aspekcie 700-lecia naszego miasta.

Stanisław Bochenek: — W harmonogramie obchodów jubileuszu mamy sporo imprez artystycznych, a za mało propozycji o charakterze inwestycyjno-remontowym. Przeszkodą jest brak środków. Skąd je brać? Przecież na początku bieżącego roku przekazaliśmy lekką ręką 2,5 mld zł do budżetu wojewódzkiego. A może trzeba było zostawić te pieniądze w mieście i godnie przygotować się do jubileuszu?

Krzysztof Kuliś: — Należy powołać zespół do spraw rejestracji zabytków Nowego Sącza. Zadbać, żeby z naszych ulic zniknęła szarzyzna, w której tak się lubują architekci. Przebadać archeologicznie, np. skarpę i teren przy ulicy Wałowej. Ostatecznie załatwić sprawę własności i przekazać skansenowi dalsze tereny. Proponuję przystosowanie bramy przy Domu Marii Ritter na galerię zabytkowych detali kamieniarskich. Trzeba pomyśleć o odnowieniu niszczejącej willi Barbackiego, zadbać o sądeckie parki.

Mirosław Lebiedziejewski: — Stale pogarsza się stan środowiska w naszym mieście. Moja firma zgłasza, że do roku 1992 osiągniemy pierwszą klasę oddziaływania na środowisko. Proponuję, żeby za naszym przykładem poszli inni. SZEW wycofuje swój wniosek o lokalizację inwestycji pod hasłem modernizacja SZEW. Będziemy się modernizować tylko w aspekcie ochrony środowiska bez budowania nowych obiektów. Jako kierownictwo przedsiębiorstwa i jego załoga nie wyobrażamy sobie funkcjonowania zakładu w konflikcie z otoczeniem i władzami.

Nadal będziemy świadczyć na rzecz miasta. Ostatnio sfinansowaliśmy zakup aparatury do dializ dla Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego.

Wnioskuję, aby pozostałe sądeckie przedsiębiorstwa uzyskały pierwszą klasę oddziaływania na środowisko. Są bowiem obszary w naszym mieście, gdzie normy dopuszczalnych emisji przekroczone są nawet 40-krotnie. Zgłaszam swój osobisty udział w zespole, który podjąłby się działalności na rzecz poprawy stanu środowiska naturalnego.

★

Dobrze przyjęto wystąpienie senatora **Krzysztofa Pawłowskiego**, który podzielił się refleksjami z pracy w Senacie. Dr Pawłowski powiedział między innymi:

— „Solidarność" — już w czasie spotkań przedwyborczych opowiadała się za odbudową samorządu terytorialnego miast i gmin. Także Senat traktuje tę sprawę jako jedną z najważniejszych. Chcemy przyspieszyć wybory. Wielu z Państwa może się wydać, że nie wierzymy w Waszą zdolność sprawnego działania. Nie jest to prawdą. W obowiązującym obecnie gorsecie ustawowym nawet anioł nie dałby sobie rady. Wpierw trzeba znowelizować albo od nowa stworzyć wiele ustaw. Prace Senatu potrwają kilka miesięcy. Chcemy bowiem uniknąć sytuacji, jaką mieli posłowie poprzedniej kadencji, którym często brakowało czasu na dopracowanie ustaw. Wybory planujemy wiosną lub jesienią przyszłego roku — po sformułowaniu nowej ustawy.

Wiele już powiedziano o nowej koncepcji samorządu. Generalnie zakłada się pełną samorządność na szczeblu miast i gmin. Szczebel wojewódzki stanowiłby przedłużenie działań rządu. Ścierają się opinie na temat składu wojewódzkiej rady narodowej. Większość uważa, że powinni ją tworzyć reprezentanci miejskich i gminnych samorządów. Funkcją wojewódzkiej rady byłoby wówczas uzgadnianie i wyważanie interesów poszczególnych rad.

Druga sprawa — podległość administracji. Ten problem stawiamy jasno i nie odstąpimy od swego stanowiska: prezydent miasta czy naczelnik muszą być wybierani przez rady narodowe. Jako menedżerowie powinni sami dobierać sobie współpracowników i za nich odpowiadać. Muszą być opłacani z kasy miejskiej lub gminnej. Dopiero wtedy będzie można mówić o jasnej relacji pomiędzy radą narodową a jej organami wykonawczymi.

Po trzecie stwierdzamy wyraźnie, że nie można dopuścić, by nowi radni i wybrani przez nich naczelnicy miast lub gmin nie mieli odpowiednich funduszy. Tylko ten ma władzę, kto ma pieniądze.

DANUTA BINEK

TYDZIEŃ

Drożyzna przybiera takie tempo, że informacje o cenach zamieszczane na sąsiedniej kolumnie tracą aktualność, zanim „Dunajec" dotrze do kiosków. Zamilkli krytycy rządu Rakowskiego, którzy obiecywali wyjście z kryzysu bez obniżenia poziomu życia świata pracy — są już ministrami.

Kolejki na stacjach benzynowych także w naszym regionie; 21 pijanych kierowców zatrzymała reformująca się milicja — jej zmotoryzowany odwód stancjonujący w nawojowskiej siedzibie hrabiów Stadnickich został rozformowany. Ofiary śmiertelne na drogach — w Bukowinie, Chyżnem, Kasinie Wielkiej i Długołęce. 26 klientów obsłużono w sądeckiej Izbie Wytrzeźwień.

Spłonęły stodoły z plonami i sprzętem rolniczym w Kasinie Małej i Świdniku, a także samochody — w Nowym Targu i Tęgoborzy. Chorący Kazimierz Turek z Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej informuje, że w ciągu trzech kwartałów paliło się 386 razy, z dymem poszedł majątek o wartości ponad 500 mln zł. Najwięcej wypadków w rejonie Nowego Sącza. Trzy ofiary śmiertelne. 190 pożarów u rolników. Nagminne przyczyny pożarów to nieostrożność i wady instalacji elektrycznych.

Śnieg w górach, chłodno. Goprowcy odszukali między Kozią Przełęczą a Zawratem dwóch zmarzniętych, ale całych turystów; pod Sokolicą w Pieninach znaleźli nieżywego mężczyznę. Sądeckie Pogotowie Ratunkowe przewiozło 460 chorych i rannych. 80 dzieci urodziło się w sądeckim szpitalu, w Gorlicach — wcześniak o wadze 1,6 kg.

Z braku pieniędzy grozi wstrzymanie remontu starego szpitala w Gorlicach, wykonano większość prac, w przyszłym roku miał ruszyć oddział neurologii i psychiatrii. ● Naczelnik Jordanowa oddał jeden z budynków urzędu miasta bezdomnej dotąd bibliotece. ● Dzięki pomocy limanowskiego PZU po czterech latach budowy Roztoka (gm. Łukowica) ma remizę.

Z czasopisma „Podhale" (w nowotarskim kombinacie obuwniczym): o odwołanie dyrektora naczelnego wystąpiła Rada Pracownicza, która — piórem Ireneusza Justa — informuje równocześnie załogę o przyczynach odrzucenia korekty planu, wykazuje dyrekcji szereg zaniedbań w realizacji uchwał Rady oraz wnioskuje o wystąpienie NZPS ze spółki „Nomark". Przy otwartej kurtynie o sprawach „Solidarności" wypowiada się Bronisław Gibadło, Jan Gil — o nowotarskiej kulturze, zaś red. naczelny, Henryk Lelas, nie pozostaje dłużny zwolennikom dawkowania demokracji zakładowej.

tu państwowego. Na utrzymanie szkół, ośrodków zdrowia, placówek kultury potrzebne są duże środki finansowe. Dotychczasowe usytuowanie służb geodezyjnych i architektonicznych w urzędach gmin jest wygodne dla obywateli. Również służby doradztwa rolniczego należy usytuować w gminie. Nadzór oświatowy w obecnym kształcie i modelu wydaje się optymalny, a więc należałoby go utrzymać również w przyszłości. Uważam, że obok budżetów samorządów lokalnych powinien istnieć także budżet wojewódzki dla finansowania zadań ponadgminnych, w tym — szkół średnich, szpitali i dróg o znaczeniu regionalnym.

● Jeden z długoletnich działaczy rad narodowych (który prosił o pominięcie jego nazwiska) tak precyzuje swoje przemyślenia na temat przyszłych samorządów lokalnych:

— Po pierwsze — samorządności należy się uczyć; rodzi się ona w najmniejszych komórkach społecznych, jakimi są rodzina, klasa szkolna, drużyna harcerska, wieś, osiedle. Powinniśmy zatem od zaraz uczyć dzieci i młodzież współrządzenia i odpowiedzialności.

Po drugie — dążyć musimy do odbudowy więzi sąsiedzkich i lokalnych przez upowszechnienie prostych form współzawodnictwa oraz organizowania imprez.

Po trzecie — celem zabezpieczenia interesów grupowych, osiedlowych, wiejskich czy gminnych — samorządy mieszkańców muszą zdobyć się na odwagę rozbijania różnych układów kumoterskich i rodzinnych, klik i koterii.

Po czwarte — należy doprowadzić samorządy do pełnej samodzielności finansowej, ograniczyć dotacje do niezbędnego minimum.

● Cenne akcje prowadzi Podhalański Oddział Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Członkowie stowarzyszenia dokonali m.in. inwentaryzacji nagrobków na cmentarzu w Nowym Targu. Wyremontowano zabytkowe studnie w Chochołowie i Dzianiszu oraz kapliczki w Poroninie, Olczy, Zakopanem, Głodówce, Białce Tatrzańskiej i Leśnicy. Rozpoczęto konserwację żelaznych krzyży z cmentarzy w Poroninie, Białce Tatrzańskiej, Ostrowsku, Szaflarach, Nowym Targu, Czarnym Dunajcu, Chochołowie i Jabłonce. Na cmentarzu w Ostrowsku budowana jest enklawa zabytkowych nagrobków, a przy zabytkowym kościółku w Białce Tatrzańskiej organizowane jest muzeum krzyży cmentarnych. Nie jest to jeszcze pełny rejestr dokonań i przedsięwzięć tego prężnego stowarzyszenia, które wiele robi by ocalić od zapomnienia ginące zabytki Podhala.

● Najpierw grupa inicjatorów zebrała podpisy mieszkańców, a później Rada Narodowa Miasta i Gminy w Starym Sączu, zgodnie z „wolą ludu" zmieniła nazwy pięciu ulic. Pociągnęło to za sobą potrzebę zmiany wielu tablic, pieczątek oraz wpisów do dowodów osobistych. Nie wszyscy z tego są zadowoleni i pretensje kierują w stronę „magistrackich urzędników", którzy są tylko wykonawcami uchwał rady narodowej.

● Szkoła podstawowa w Słopnicach przez długie lata pozostawała w sferze postulatów i marzeń, później czekała na „wejście" do planu. W 1986 r. wreszcie rozpoczęto budowę, ale do dziś obiekt nie wyszedł jeszcze z ziemi. Pierwszym wykonawcą było niesławnej pamięci Przedsiębiorstwo Budownictwa Turystycznego w Nowym Sączu. Gdy ono zbankrutowało — wykonawstwa podjęło się Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Limanowej, przejęte następnie przez „Igloopol". W czerwcu br. „Igloopol" porzucił ledwo rozpoczętą budowę. Nie pomogły rozpaczliwe prośby przewodniczącego GRN Kazimierza Szczeciny oraz naczelnika gminy Józefa Bożka. Teraz budowy podjęła się prywatna spółka budowlana z Limanowej. Jak dobrze pójdzie, za 3 lata Słopnice Dolne będą miały nową szkołę.

● W ciągu 9 miesięcy br. do Naczelnego Sądu Administracyjnego wpłynęło z województwa nowosądeckiego 120 skarg na decyzje administracyjne. Ponad połowa z nich dotyczyła spraw budowlanych, dużo było spraw mieszkaniowych oraz z zakresu gospodarki gruntami. Pięć skarg dotyczyło bezczynności organów administracji państwowej w Zakopanem, Gródku nad Dunajcem, Jordanowie i Rabce. Naczelny Sąd Administracyjny uchylił tylko 25 procent zaskarżonych decyzji, z tego większość z przyczyn formalno-proceduralnych a nie merytorycznych.

● W Nowym Sączu rozpoczął funkcjonowanie Rejonowy Sąd Gospodarczy, który rozstrzygać będzie spory jednostek gospodarczych z terenu województwa. Z końcem września zakończyły żywot komisje arbitrażowe, które bardziej kierowały się zasadami polityki gospodarczej państwa niż kodeksem cywilnym. Posługiwanie się w spornych sprawach kodeksem cywilnym oznacza powrót do zasady, że każdy podmiot gospodarczy jest równy wobec prawa.

● Do września na terenie województwa nowosądeckiego wydarzyło się 755 wypadków i 127 kolizji drogowych. 72 osoby poniosły śmierć, około tysiąca zostało rannych. Jest to wyraźny wzrost w stosunku do roku ubiegłego. Tego wzrostu nie da się wytłumaczyć jedynie tym, że w br. przybyło w województwie 6200 pojazdów silnikowych. Częstą przyczyną wypadków i kolizji jest brawura, brak umiejętności w kierowaniu pojazdem i zły stan dróg.

ROMAN KOSTANECKI

Jan Skalny

Śmietanka, maślanka, brud

Polska jest jednym z największych producentów mleka w świecie. Ogon do ogona, kropla do kropli — doimy ponad 16 miliardów litrów mleka rocznie. Więcej od nas mają go jedynie w Związku Radzieckim, Stanach Zjednoczonych, RFN, Wielkiej Brytanii i Francji.

Co z tego jednak, poza statystyczną satysfakcją wynika? Ano niewiele. Pijemy chyba najpodlejsze mleko pod słońcem. I nie ma mądrego, który wie, ile go nam przecieka przez palce. W dodatku brudne.

Uroda naszej wsi, czy jak kto woli, jej struktura agrarna jest taka, że mleczne krowy trzyma się w dwu milionach gospodarstw. Część z nich, mniej więcej jedna trzecia, zużywa mleko na własne potrzeby. Reszta je sprzedaje. Absolutnym monopolistą, który zajmuje się skupem i przetwórstwem mleka, jest spółdzielczość mleczarska, obracająca rocznie blisko 11 miliardami litrów. Aż cztery z każdych pięciu pochodzi z chłopskich zagród. Zaś średnio na jednego producenta wypadają dwa krowie ogony! Wielu rolników ma zresztą jedną jedyną łaciatą żywicielkę: niemal co trzeci dostawca sprzedaje poniżej 6 litrów dziennie. Nieco więcej niż połowa od 6 do 20 litrów, zaledwie 17 procent od 20 do 50 litrów, i tylko jeden procent — powyżej 50 litrów dziennie.

Aby mleko było mlekiem, trzeba je udoić od zdrowej, dobrze odżywionej krowy, w higienicznych warunkach, zaraz schłodzić do temperatury 2—4 stopnie. Jest to bowiem surowiec niesłychanie nietrwały, podatny na wszelkie zmiany mikrobiologiczne. Bakterie, te wszystkie paskudztwa niewidoczne gołym okiem, mnożą się, zwłaszcza w wyższej temperaturze, w zawrotnym tempie.

W krajach, które dorobiły się nowoczesnego mleczarstwa, w drodze od krowy do sklepu w odległym mieście mleko w ogóle nie ma kontaktu z powietrzem. Mechaniczny udój, schładzanie w hermetycznych zbiornikach, pompowanie do sterylnych cystern, dalszy transport i wszystkie ogniwa tego mlecznego łańcucha zazębiają się tak precyzyjnie jak tryby w szwajcarskim zegarku.

U nas zaś w schładzarki wyposażonych jest nie więcej niż 150 — 200 tysięcy gospodarstw indywidualnych. Nie lepiej z dojarkami: posiada je niewiele ponad 10 proc. gospodarstw dostarczających mleko. Nasz przemysł produkuje bowiem tak niewiele tych urządzeń, że trzeba na nie czekać latami w kolejce.

Jeśli chłop może na coś na pewno liczyć, to na własne ręce. Pół biedy, gdy przynajmniej czyste. A z tym, aż strach mówić, jest gorzej niż źle. Na wsiach coraz częściej brakuje wody. Trzeba ją nieraz dowozić ze znacznych odległości. Skarży się na to co piąty dostawca mleka. Paszy coraz mniej i coraz gorsza. Szwankuje opieka weterynaryjna. Codziennych dokuczliwości bez liku. Ile to trzeba czasu zmitrężyć, żeby kupić sączki, środki do mycia i dezynfekcji konwi, wapno do bielenia obór, wiadro emaliowane wreszcie.

Bańka, wozak, furka... mleko ciągnie się do zlewni. W tych punktach skupu, a jest ich ponad 10 tysięcy, spotyka się mleko od rozmaitych krów, z różnych obór, z wielu wiosek. Stąd już popłynie w kraj, powiedzmy, Odra mleka. Żeby stała się takim samym ściekiem jak prawdziwa rzeka nie trzeba dużo. To tak, jak w znanym porzekadle o beczce miodu i łyżce dziegciu. Litr mleka udojonego od chorej krasuli skazi sto innych.

W punkcie skupu po raz pierwszy na swej drodze oceniane i klasyfikowane powinno być *„mleko surowe uzyskane z wydojenia krów wolnych od gruźlicy i brucelozy, do którego nic nie dodano i od którego nic nie odjęto"*. Robić to ma zlewniarz posługując się głównie własnym nosem i okiem.

Podczas jednej z licznych kontroli pracownicy Państwowej Inspekcji Skupu i Przetwórstwa Artykułów Rolnych zajrzeli do prawie 10 tysięcy konwi z mlekiem, z górą 200 zlewni i 80 Okręgowych Spółdzielni Mleczarskich. Oceniali jakość wybranych 310 tysięcy litrów mleka. Wyniki tej kontroli jeżą włos na głowie. Siedem na dziesięć konwi nosiło ślady rdzy i wgniecenia, uszczelki były zniszczone i brudne, a samo naczynie zanieczyszczone. Ledwo 40 proc. dostarczanego mleka spełniało jakie takie wymogi. Reszta, a więc większość, była rozmaicie zanieczyszczona. Mechanicznie te wszystkie paprochy, kłaczki sierści, grudki nawozu, włosy, źdźbła słomy — to akurat widać gołym okiem. Ale badania laboratoryjne wykazały, że niemal co piąty litr skontrolowanego mleka był skażony mikrobiologicznie: wykryto w nim, na przykład, bakterie E coli (więc kału po prostu) w zatrważających ilościach. Niewinnymi igraszkami wydają się metody stare jak świat: chrzczenie mleka wodą czy odcedzanie podstałej śmietanki, wobec tego, że w ośmiu spośród każdych stu litrów mleka wykryto obecność antybiotyków. Bo, powiedzmy, krowa była leczona, i choć mleko od niej przez pewien czas nie nadaje się do spożycia, a nuż nikt się nie spostrzeże! Antybiotyki właśnie, a także niektóre detergenty dodawane są do mleka po to, by — mówiąc uczenie — zahamować rozwój mikroflory, a mówiąc zwyczajnie — opóźnić jego kwaśnienie. W podobnym celu stosuje się wodę (utlenioną) i sodę.

Inspektorzy PISPAR-u policzyli, że niemal w co drugiej zlewni ocena i klasyfikacja mleka, oględnie mówiąc szwankuje. Trudno się nawet temu specjalnie dziwić, skoro w niektórych punktach brakuje elementarnego wyposażenia: tłuszczomierzy, sączków, termometrów. A kiedy wysyła się do laboratorium próbki podejrzanej jakości mleka, wyniki szczegółowej analizy przychodzą dopiero po tygodniu! A kupione mleko, łącznie z tym niepewnym, dawno już popłynęło w Polskę. I może już jakiś maluch wymiotuje homogenizowanym twarożkiem, który mu troskliwa mama dała na drugie śniadanie.

Nawet niezłej jakości mleko może w zlewni trafić na... cieplarniane zgoła warunki, czego, jak wiemy, szalenie nie lubi. Jedna trzecia punktów nie posiada bowiem urządzeń do schładzania i przechowywania mleka w temperaturze poniżej 10 stopni. Zaś co piąta zlewnia nie ma bieżącej wody. Otoczenie co siódmej przygnębia odrażającym bałaganem. To już są obserwacje Państwowej Inspekcji Sanitarnej.

Ze zlewni mleko rusza w dalszą drogę. Przesiadło się z furmanki na ciężarówkę albo nawet trafiło do cysterny (czy porządnie umytej — to już nie jest takie pewne). Jedzie teraz do jednej z ponad 300 Okręgowych Spółdzielni Mleczarskich, a ściślej rzecz biorąc do któregoś z 730 zakładów OSM.

Zimą pół biedy, może się wiele nie zmarnuje, choć brakuje węgla. Lato to klęska: krasule, jak na złość dają więcej mleka, około 40 milionów litrów dziennie. Gdzie to przerobić? Jak to u nas: od przybytku głowa boli. Brak mocy wszelkiej. Także produkcyjnej. Wtedy najwięcej mleka przerabia się na kazeinę. To jest właśnie awaryjny sposób zagospodarowania nadmiaru surowca.

Mleczarstwo zaniedbane jest jak mało która gałąź przemysłu spożywczego. Niedoinwestowane: robi bokami. I truje. Połowa mleczarni nie dorobiła się, na przykład, oczyszczalni ścieków. Wejdźmy za inspektorem PISPAR-u do jednej z mleczarń od tyłu, kuchennymi drzwiami. Widok znajomy taki: uszkodzone, odpadające tynki, łuszcząca się farba, zacieki na ścianach i na sufitach, wyszczerbione posadzki, popękana glazura, widoczne ślady korozji urządzeń i sprzętu. A poza tym po prostu brudno i smrodliwie. Tak wyglądał co trzeci ze skontrolowanych 80 zakładów mleczarskich.

Pytanie za sto punktów: jak z marnego surowca, w dodatku w takich warunkach — może powstać nabiał wysokiej klasy?

Stacje Sanepidu od lat alarmują, że niepokojąco wysoki odsetek produktów zanieczyszczonych mikrobiologicznie opuszcza zakłady mleczarskie. Przeciętnie około 30 procent właściwie nie nadaje się do spożycia. Szczególnie zła jest jakość serków homogenizowanych, śmietany, kefiru. Nieskuteczna bywa, jak się okazuje, pasteryzacja mleka. W wielu mleczarniach brak jest termografów, które umożliwiają kontrolę tego procesu...

Piszą do nas

● Pan **Zbigniew Michta**, lekarz z Myślenic:

W kwietniu br. powołane zostało i rozpoczęło działalność Stowarzyszenie byłych Żołnierzy, Partyzantów i Sympatyków Inspektoratu Armii Krajowej „Maria", obejmującego 106 Dywizję Piechoty Armii Krajowej i Krakowską Brygadę Kawalerii Zmotoryzowanej A.K.

Jestem delegatem Zarządu tego Stowarzyszenia na VIII Okręg obejmujący teren województwa Nowosądeckiego. Zwracam się przeto do Pana Redaktora z uprzejmą prośbą o zamieszczenie odpowiedniej informacji o istnieniu naszego Stowarzyszenia. Jednocześnie usilnie proszę o zamieszczenie informacji, iż byli żołnierze i partyzanci wymienionych wyżej jednostek Armii Krajowej (zamieszkali obecnie na terenie województwa nowosądeckiego) mogą zgłaszać chęć przystąpienia do naszego Stowarzyszenia na mój adres: os. Tysiąclecia 17, m. 19, 32-400 Myślenice, lub na adres Zarządu w Krakowie: ul. Na Kozłówce 4 A, m. 35 — kod 30-664. Otrzymają wówczas do wypełnienia odpowiednią deklarację. Po zweryfikowaniu b. żołnierze i partyzanci uzyskają status członków zwyczajnych, członkowie ich rodzin — status sympatyków Stowarzyszenia, natomiast wdowy po poległych naszych Kolegach — status członków podopiecznych.

● Kilku czytelników prosi o informacje dotyczące dyżurów naszych posłów i senatorów. Zwłaszcza mieszkańcy wsi i mniejszych miejscowości pytają, pod jakim adresem i w które dni mogą być przyjęci.

W związku z tym prosimy posłów i senatorów, którzy zdołali już uruchomić swoje biura, by zechcieli przesłać na nasz adres stosowne informacje. Zdajemy sobie sprawę, że tempo pracy obu izb parlamentu (a także ich komisji) uniemożliwia w tej chwili posłom i senatorom systematyczne pełnienie dyżurów w terenie. Tym bardziej więc celowe byłoby podanie do publicznej wiadomości, gdzie można uzyskać z nimi kontakt choćby listowny.

Informacje w prasie codziennej były niekompletne, stąd nasza propozycja. Przy okazji: bylibyśmy wdzięczni za powiadomienie, w jakich komisjach zasiadają nasi posłowie i senatorowie; o to również dopytują się czytelnicy.

● Pan **Franciszek Mierzwa** z Jordanowa domaga się, by drukowany w „Dunajcu" tygodniowy program telewizji zawierał więcej szczegółów: *sam tytuł filmu to za mało, trzeba podać jakiej produkcji i kto reżyserował. Podobnie z innymi pozycjami — np. „Studio Sport" nie wyjaśnia, o jaką konkurencję lub mecz chodzi.*

Podzielamy te uwagi i postaramy się — na ile to będzie możliwe — podawać informacje pełniejsze. Nistety, nie zawsze udaje się nam w porę uzyskać w telewizji satysfakcjonujące dane. Trochę brakuje też miejsca i dlatego — zdopingowani przez p. Mierzwę — postanowiliśmy nie uwidoczniać codziennych stałych pozycji (Dziennik, Teleexpres czy Panorama dnia), każdy telewidz zna godzinę ich nadawania. Dzięki tej oszczędności można będzie nieco szerzej napisać o innych pozycjach.

● Pani **Zofia Czech** kwestionuje sposób zrelacjonowania przez nas jej wypowiedzi podczas dyskusji sądeckich działaczy partyjnych:

Wypowiedź moja dotyczyła pozycji partii w zakładzie pracy i miała taki sens: „ — Trudno teraz mówić o pozycji partii w zakładach pracy, mając na uwadze fakt, iż w poprzednim okresie działalności partii, kiedy jeszcze odgrywała przewodnią rolę, zdarzały się w niektórych przedsiębiorstwach przypadki trudnej współpracy sekretarzy z kierownictwem zakładu pracy. W obecnej sytuacji kierownik takiego zakładu pracy (nie dotyczyło to mojego zakładu pracy) będzie lekceważył sekretarza."

Dodałam również między innymi jako dobry przykład współpracy, że w naszym przedsiębiorstwie oprócz POP działają związki zawodowe i Rada Pracownicza (które stanowią o wielu ważnych zagadnieniach związanych z działalnością przedsiębiorstwa), z którymi Kierownictwo zakładu konsultuje wszystkie istotne dla załogi i przedsiębiorstwa sprawy.

Od redakcji: Cieszymy się, że w firmie towarzyszki Czech *stanowienie o ważnych zagadnieniach* i konsultowanie *wszystkich istotnych spraw* przebiega w pełnej harmonii. Zapewne wyłącznie nieuwadze reporterki trzeba przypisać zdrożną myśl, iż kierownik lekceważy sekretarza. Na szczęście chwila nieuwagi dotyczyła wyłącznie jednej wypowiedzi. Inni dyskutanci sprostowań nie nadesłali. Nie telefonowali też, by powiadomić nas o *wstrząsie po przeczytaniu artykułu...*

● Pan **Janusz Wojdacki** z Nowego Targu:

Być może kołaczą się Wam w pamięci moje „Ziarnka piasku" z wiosny ub. roku o „weryfikacji" biletów miesięcznych. I proszę — po półtora roku okazało się, iż „pani sprzedająca" bilety miesięczne jest również, „panią weryfikującą". Widać może to robić. A że jestem złośliwy przytoczę odpowiedź p. Z. Zygmunta: „... nie mogła się tym zajmować kasjerka, gdyż jej zadaniem jest sprzedaż biletów pasażerom, a weryfikacja wymagała sprawdzenia prawidłowości poprzednich adnotacji." Teraz niemożliwe stało się możliwe. Chwała nowotarskiemu PKS-owi.

Nie ma wszakże róży bez kolców. „Kolce" nie pochodzą tym razem od nowotarskiego PKS-u, lecz od PKS-u „w ogóle". Otóż bilet miesięczny kosztuje obecnie 48 przejazdów „jednostkowych". Uwzględniając niedziele i wolne soboty, pracujemy średnio w miesiącu 21-22 dni, czyli 42-44 przejazdy, a np. nauczyciele jeszcze mniej. Więc ja przestanę kupować bilet miesięczny, bo to się nie opłaca. Na ogół, kupując czegoś więcej, otrzymuje się rabat. A szanowny PKS każe sobie jeszcze dopłacać! Nie mam zamiaru dotować PKS-u.

Co Was gnębi?

Gorlice

Kazimierz Sterkowicz, I sekretarz Komitetu Miejskiego Partii:

— Problem numer 1 Gorlic — wspólny zresztą dla całej niemal Polski — to budownictwo mieszkaniowe wraz z całą sferą towarzyszących kłopotów: wodą dla nowych osiedli, ściekami, usługami. Gorlice są w szczególnie złej sytuacji, ponieważ przemysł rozwijał się tutaj dość gwałtownie, zaś budownictwo — dużo wolniej. Nie mieliśmy terenów pod zabudowę i trzeba je było dopiero uzyskiwać drogą wywłaszczeń. A nie są to sprawy łatwe, toteż procesy wywłaszczeniowe ciągnęły się latami. Tymczasem wydłużały się kolejki po mieszkania. W tej chwili czeka około 2 tysięcy osób, a w dalszej perspektywie — ponad 5 tysięcy. Niedawno oddano nowe osiedle „Korczak", powstaje osiedle „Kościuszki-A", w fazie projektowania są jego dwie dalsze części, ale ich realizacja nie jest zbyt pewna, bo w ogóle nie wiadomo, jak zostaną zdecydowane losy budownictwa w Polsce. Nikt nie wie, czy budownictwo spółdzielcze się utrzyma i przy jakiej odpłatności. Czy nadal będziemy mieli budynki komunalne, czy każdy będzie kupował mieszkanie z wolnej stopy... Swobodny handel mieszkaniami jest zdrowym pomysłem, ale problemu mieszkaniowego nam nie rozwiąże. Niedawno był w Gorlicach przetarg na działki budowlane. Jedna kosztowała 3 tysiące dolarów. A mieszkania są jeszcze droższe. Wątpię, aby robotnik pracujący w Polsce za złotówki, mógł kiedykolwiek tą drogą wejść w swoje podstawowe prawo do dachu nad głową.

Marek Wojas, zastępca naczelnika Miasta:

— Obok wielu „spraw najpilniejszych", ważnych (lecz trudnych do szybkiego rozwiązania głównie przez brak pieniędzy) jak woda dla miasta, ścieki czy mieszkania — widzę jeden, który wygląda nie tak beznadziejnie, a nawet trochę tchnie optymizmem. Otóż w Gorlicach remontujemy prawie od zera najstarszy zabytek tutejszy, Dwór Karwacjanów, będący w całkowitej ruinie. I robimy to w dużej części w czynie społecznym. Co przy rewaloryzacji można zrobić w czynie społecznym? Otóż zawiązaliśmy komitet społeczny złożony ze znaczących obywateli miasta. W czynie społecznym grono projektantów przerobiło kosztorys na oszczędniejszy. Fabryka Maszyn podarowała dachówkę pochodzącą z rozbiórki. Rafineria Nafty użycza środków transportu, a Obrona Cywilna pomaga przy robotach murarskich i ziemnych. Prócz tego przychodzą i — mam nadzieję — będą przychodziły, drobne pieniądze (bo te grube pochodzą z Ministerstwa Kultury i z chudego budżetu Miasta) od zakładów pracy jako wolne datki. Część robocizny nieodpłatnej oferuje Fabryka Maszyn. Zaczęliśmy te roboty w II kwartale i przewidujemy zakończenie w 1995 r. A jeśliby ktoś bogaty dobrze sypnął groszem, to i wcześniej udałoby się nam zamek postawić na nogi.

Maria Trybus i Magdalena Zając (Komenda Hufca ZHP):

— Gdybyśmy mieli siłę i środki finansowe, to w pierwszym rzędzie walczylibyśmy o naszą młodzież, o gorlickich harcerzy, jak to zresztą czynimy od lat uparcie, choć bez wielkich efektów. Sprawdza się na nas stara cyniczna prawda, że kto nie ma pieniędzy ani możnych protektorów, ten może działać tylko na peryferiach, na bocznym torze. Nas, harcerzy, traktuje się w mieście jak spokojnych wariatów, których szkoda niszczyć, ale i nie warto popierać. Jesteśmy notorycznie bezdomni. Od 28 lat bezdomni. Albo dosłownie wyrzuceni na bruk, albo tak przygarnięci jak teraz, kiedy w Komitecie partii dostaliśmy pokój o powierzchni 9 m². Jest w Gorlicach 2000 harcerzy. Jak ich pomieścić na dziewięciu metrach? A przecież stoi w Rynku budynek, który wszyscy nazywają „domem harcerza", specjalnie wybudowany w latach 50. dla potrzeb harcerstwa, a później odebrany. Teraz mieści się tam Ośrodek Pracy Pozalekcyjnej, który notabene mógłby równie dobrze działać w szkole po lekcjach. Nasze starania o odzyskanie tych pomieszczeń wyśmiano. Inny dom, który nam przyrzeczono, też w Rynku, wykupiło na własność WPHW i jeden pokój oddało „Solidarności", nie nam. Byliśmy za słabi w tej grze. Potem obiecywano nam lokal w nowym osiedlu „Na Korczaku", ale wczoraj, dowiedzieliśmy się, że nic z tego — lokal otrzymuje szkoła muzyczna. Czy jesteśmy niepotrzebni? Ależ potrzebni, wtedy kiedy trzeba odsłaniać popiersia czy pełnić wartę na mrozie. Do dekoracji. Nasza działalność wydaje się nam beznadziejna i w końcu to harcerstwo gorlickie się rozleci. Stara kadra instruktorów, która godziła się przebijać głową mur, odchodzi, a młodsi nie mają już wiary w sens pracy wbrew wszystkiemu. Chodzimy jeszcze i żebrzemy, a zewsząd słyszymy tylko puste słowa. Nawet zawiązało się Towarzystwo Przyjaciół Harcerstwa, z wszystkimi miejscowymi notablami. I nic, tylko kiwają głowami. Chcieliśmy dostać choć piwnicę na osiedlu. Lecz zaprotestowali mieszkańcy: — *nasze, nie damy!*

Zbiórki robimy w szkole po lekcjach, a i to jedynie wtedy, kiedy sprzątaczka ma dobry humor i da klucz. Chcielibyśmy dostać choćby garaż w Komitecie, który służy jako rupieciarnia, ale nie chcą dać, bo nie wypada harcerzy w garażu trzymać. I tak ani pałacu, ani rudery nie mamy.

Elżbieta Knapik, sekretarz Zarządu Miejskiego Ligi Kobiet:

— Przed chwilą właśnie dostałam wezwanie do Krakowa na posiedzenie komisji planowania przestrzennego. Domyślam się, o co idzie. Jestem przewodniczącą komitetu społecznego, który protestuje przeciwko budowie szosy łączącej ulicę Szopena z Zawodziem. Ta obwodnica zniszczy nasz stary, piękny, unikalny Park Miejski, jedyne płuca przemysłowych Gorlic. Zatruje spalinami. Chcemy jeszcze choć trochę swobodnie oddychać i mamy prawo do tego miejsca, które stanowi historię Gorlic. Czy nasi urbaniści rozumieją, jak łatwo jest zniszczyć, a jak trudno odbudować? Sprawa jest tym bardziej niesporna, że tak wymyślona trasa to pomysł doraźny, na wczoraj, i wcale nie rozwiąże problemów komunikacyjnych. W dodatku w rejonie Parku mieści się cały kompleks rekreacyjny: stadion, kąpielisko, korty, będzie kryta pływalnia. I to wszystko otoczyć chmurą spalin? Zniszczyć jednym pociągnięciem ołówka? Wierzę, że tak się nie stanie.

Tomasz Mierzwiński, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej:

— Gorlice nie mają żadnego miejsca, które pełniłoby rolę ośrodka skupiającego tutejszą inteligencję. Istnieje wprawdzie od niedawna Centrum Kultury w „Gliniku", ale jest ono oddalone od śródmieścia o 2 km i przez to wykorzystywane okazjonalnie, od imprezy do imprezy. A nam potrzeba miejsca w centrum, przytulnego i wygodnego, gdzie dałoby się wytworzyć dobrą atmosferę. Blisko kina, szkół, księgarni. Istnieją pewne projekty i pewne nadzieje na uzyskanie takiego miejsca. Właśnie w środku miasta jest stara bożnica, po wojnie zamieniona na piekarnię. Chcemy piekarnię stamtąd usunąć, a w bożnicy urządzić ośrodek kultury żydowskiej i w jakimś kąciku — salę koncertową, aby przyszła do nas muzyka ze świata. Istnieje już BWA w ruinach Zamku Karwacjanów, będą tam urządzane regularne wystawy plastyczne. A po odbudowaniu zamku liczymy w nim na salę klubową, abyśmy mogli spotykać się nie tylko w kolejce po mięso.

Życie jest tak udręczające, że trzeba czym prędzej inwestować w sferę duchową i tam uciekać.

Notowała ZOFIA SZLACHTA

Fot. ANTONI ŁOPUCH

Zaradni szczawniczanie

Tezę, że Polak potrafi być zaradnym, potwierdzili bez wątpienia dwaj młodzi mieszkańcy Szczawnicy — Janusz i Krzysztof. Poznali się nie tak dawno na jednej z prywatek i od razu przypadli sobie do gustu. Zauważyli bowiem u siebie jakąś zbieżność charakterologiczną. Krzysiek, jako zasiedziały tu od lat, wprowadził w miejscowy światek „przybysza" Janusza. Wspólnie bywali na dyskotekach, zabawach i innych towarzyskich imprezach. Ponieważ jednak żyć z czegoś trzeba, a do pracy było im niespieszno, zaczęli główkować, gdzie najlepiej można zarobić, nie imając się zajęć fizycznych czy też umysłowo-biurowych. Szansę zwietrzyli na utartym już przez Polaków szlaku, czyli na handlowo-przemytniczych wycieczkach zagranicznych. Najpierw obrali (po wypełnieniu niezbędnych formalności w Biurze Podróży „Orbis") kurs na Grecję. I widocznie ta wycieczka była dla nich na tyle interesująca turystycznie i finansowo, że postanowili ten sposób zarobkowania na życie kontynuować.

Grecja z czasem stała się jednak dla Polaków mniej atrakcyjna, a poza tym tamtejsi celnicy zaczęli niezbyt łaskawym okiem spoglądać na naszych pseudo-turystów, więc szczawniccy wędrowcy zmienili kierunek. Wyjechali też na południe, tyle że za Bosfor. Tam też poszczęściło się im nieźle. Z kolei pojechali na zachód, do Austrii, gdzie wzorem wielu Polaków podjęli w jednej z podwiedeńskich miejscowości pracę „na czarno". Zajęli się remontem budynków, gdyż o tej pracy mieli jakie takie pojęcie. Było też w nich trochę góralskiej krzepy, co w połączeniu z wizją „zielonych" banknotów spowodowało, że po blisko siedmiu miesiącach przyjęte zlecenie wykonali i umówioną kwotę zainkasowali. A była to sumka niemała. Przyszła pora powrotu. Krzysiek i Janusz postanowili jednak zafundować sobie — za trudy, znoje i poniewierkę — wywczasy na południu Europy i dotarli nad czarnomorskie wybrzeże Bułgarii. Już jako turyści przemierzali ten zakątek świata, by później dotrzeć do stolicy, gdzie zainstalowali się w hotelu „Witosza", usytuowanym na wzgórzu nad miastem. Trochę porządzili, ale to przecież młodym przystoi.

Tu zdarzył się ponoć przypadek, który miał później zadecydować, iż Krzysiek i Janusz trafili do milicyjno-prokuratorskich dokumentów procesowych. Pewnego dnia Krzysiek zjeżdżając drogą prowadzącą przez las w kierunku miasta, zauważył przed jednym z ostrych zakrętów nieprawidłowo zaparkowanego „poloneza" o polskiej rejestracji, prawdopodobnie radomskiej, którego właściciel udał się w pośpiechu w głąb lasu. Krzysiek, wiedziony normalną ludzką ciekawością, podążył za nim i po chwili mógł się przekonać, że ów nieznany mężczyzna wyciągnął z podręcznego plecaka saperkę i w pośpiechu począł kopać dół pod jednym z drzew. Gdy uznał, że dziura jest już wystarczająco głęboka, wyciągnął z plecaka jakieś zawiniątko w foliowym worku i wrzucił je do schowka, zasypał ziemią i zamaskował. Krzysiek obserwował wyczyny nieznajomego z zapartym tchem. Potem jeszcze upewnił się, że ten odjechał. Wrócił wówczas pod rozłożyste drzewo i schowek gołymi rękami odkopał. Stwierdził, że w worku były jakieś błyszczące sztabki, takież pręciki, tudzież białawy proszek, który skojarzył się Krzyśkowi z działaniami narkotykowej mafii. Znalezisko zapakował znalazca do samochodu i ukrywając je w przeróżnych miejscach przed punktami odpraw celnych, szczęśliwie przewiózł do Polski. Tu postanowili obaj sprawdzić, co to jest. Krakowscy jubilerzy, do których zwrócili się o poradę, uspokoili ich skołatane nerwy stwierdzeniem, że znaleziony proszek to nie żadne tam narkotyki, lecz cenny azotan srebra. W sumie więc zysk pochodzący ze znalezionego „proszku" i sztabek, które okazały się wysokiej próby srebrem, wyniósł ponad 3 miliony złotych. Czy każdy może być takim szczęściarzem?

Potem Janusz i Krzysiek trochę odpoczywali, trochę bywali w różnych towarzystwach, imponując „zielonymi". Żyło im się dobrze i beztrosko. Aż przyszła pora na kolejny odjazd do dolarowego kraju. Tak zadecydował Krzysiek. Poczęli więc sposobić się do wyjazdu. Na to konto Krzysiek zakupił nowy samochód i postanowił doprowadzić go do przyzwoitego stanu. Dotarcie do mechaników w nowotarskiej stacji obsługi miał Janusz. Samochód remontowano więc solidnie i terminowo. Któregoś dnia do jednego z mechaników przyszedł Krzysiek i zażyczył sobie, by pewną część w samochodzie „zaspawać". Mechanik, w myśl hasła — *klient nasz pan* i to zamówienie wykonał zgodnie z poleceniem, choć w duchu dziwił się, po co takie fanaberie. Wkrótce też samochód był gotów do wyjazdu.

Późnym wieczorem podjechał do odprawy celnej na przejściu granicznym w Chyżnem „polonez" o rejestracji nowosądeckiej, którego kierowca tudzież pasażer oświadczyli, że udają się do Austrii i w zasadzie nic nie mają do oclenia. Starzy, doświadczeni celnicy posiadają jednak siódmy zmysł, który pozwala im wybrać do wyrywkowej, selektywnej kontroli tych, którzy mogą mieć coś na sumieniu. Tak też było w tym przypadku. Samochód odstawiono na boczny plac i przystąpiono do jego szczegółowych oględzin. Początkowo nic nie wskazywało, że wynik może być pozytywny. Raptem jeden z celników dostrzegł spawanie w nietypowym miejscu i to go zaintrygowało. Rozpytany na powyższą okoliczność Krzysztof zachował kamienną twarz pokerzysty i oświadczył, że na ten temat nic mu nie jest wiadome. Celnicy na oświadczeniu powyższym nie poprzestali. Udało się im rozmontować przemyślnie skonstruowaną skrytkę, z której wyciągnęli siedem zawiniątek. Były w nich opisywane wyżej sztaby, pręciki i azotan srebra.

Przemycany towar, samochód, jego właściciela i współtowarzysza — zatrzymano. Krzysiek i Janusz naopowiadali przesłuchującym ich celnikom, funkcjonariuszom MO i prokuratorowi tyle ciekawych opowiastek, że można by nakręcić na ich kanwie filmik sensacyjny. Opowiastki te, jak później ustalono, należało między bajki włożyć. Prawda zaś była taka, że udaremniono kolejną, dużą próbę przemytu. A Krzyśkowi i Januszowi chyba przyjdzie wziąć się do pracy tu, na miejscu, gdyż na kolejne wyjazdy w najbliższej przyszłości nie mogą liczyć.

JACEK SOWA (9)

GÓRALENVOLK

Odradzająca się organizacja ludowa na Podhalu wychodziła przeciw okupantowi z ustalonym programem i odpowiednimi środkami. Prekursorem tego ruchu stał się rdzenny syn Skalnego Podhala, działacz młodzieżowy i twórca uniwersytetów ludowych — AUGUSTYN SUSKI z Szaflar. Nie wystarczyły mu półśrodki, a za takie uznał próby odrodzenia ruchu ludowego. Konsolidacji wymagały wszystkie środowiska, głównie inteligenckie, a tych ruch ludowy nie był w stanie objąć.

Tak powstała **Konfederacja Tatrzańska**, której półtoraroczna działalność była jednym z większych sukcesów organizacyjnych, odbijając się echem w okupacyjne lata. Augustyn Suski, Jadwiga Apostoł, Tadeusz Popek — to postacie nierozerwalnie związane z genezą Konfederacji. Jej spisy osobowe obejmują 180 nazwisk, w większości ludzi powiązanych z ruchem ludowym bądź ZWZ. Działalność Konfederacji Tatrzańskiej nosiła zasadniczo charakter polityczno-propagandowy. W pkt. 7 Deklaracji Ideowej napisano: *W pierwszym rzędzie pragniemy nadać znowu świątalność i niewzruszoną powagę owej bezwzględnej, a przyćmionej nieco przez „krzeptowszczyznę" prawdzie, że słowo „góral" znaczy to samo, co „Polak z ducha i krwi."*

Główną bronią propagandową Konfederacji były gazetki, początkowo pod nazwą „Wiadomości Polskie", później pod nowym tytułem „Na placówce"; winieta, wykonana przez grafika — Józefa Mroszczaka, przedstawiała na tle gór sylwetkę górala, trzymającego w ręce polski sztandar narodowy.

W artykułach czołowych działaczy Konfederacji Tatrzańskiej demonstrowano posunięcia wroga, nawołując do konsolidacji szeregów. W publikacji zatytułowanej „Goralenführer" piętnował zdrajców Augustyn Suski:

Stwór nierogaty podszył się pod miano górala, i Niemców zapewnił, że wszyscy górale tak jak on wyrzekają się Polski, że kanaliami są jak on i razem całują ręce kanalii. Zorganizował pielgrzymki górali, którzy na kolanach, cuchami wyszywanymi zamiatając podłogę, pełzali u nóg szwabskiego gubernatora, do nóg przedstawiciela tych, co miliony naszych w zwierzęcy sposób wymordowali, co miliony naszych katują, głodzą i więżą po obozach, kryminałach i miejscach przymusowych robót. Nasze rycerskie chochołowskie nuty zhańbione i sponiewierane. A oni ze swym Wackiem biorą judaszowskie srebrniki, koncesje, domy i majątki za pomordowanych i sprzedanych Zachemskich, Guców, Marków, Olszowskich, Puczków, Dańkowskich, za najszlachetniejszych ludzi, Polaków, którzy swą śmierć krzyżową już ponieśli, albo w męce na nią czekają. Serce w piersi zamiera i krew w żyłach zastyga na myśl o takiej potworności (...) Dziś, kiedy Polska powstaje, tworzy potężne armie za oceanem, w Związku Sowieckim, Wacek podstępem i groźbą wymusza na słabych i zależnych od siebie podpisanie deklaracji „narodu góralskiego" (...) Nie dość im tych, których już wymordowali i mordują. Pragną jeszcze naszych wciągnąć w szeregi niemieckie, jako mięso armatnie i setkami, tysiącami wygubić ich w walce przeciw swoim braciom i sprzymierzeńcom, w walce przeciw przyjaciołom na życie i śmierć (...) Na całym obszarze Polski jest, ich zdaniem, tylko kilkadziesiąt tysięcy Polaków w okręgu kieleckim. Reszta to: Goralen, Mazuren, Kaschuben, Schlonzaken, Ukrainnen itd. Niewiarygodne, a jednak prawdziwe. Nie ma siły, która by zmieniła istotną rzeczywistość, a która mówi każdym swym szczegółem, każdym uderzeniem serca, tonem muzyki, linią ornamentu, każdym ciosem w budowlach — o Polsce i polskości, o odwiecznych zaczynach polskości w duszy górala, Podhalu i Tatrach. Nie jest to zasługa ani bohaterstwo, że Podhale i górale to Polska i Polacy, jest to tylko fakt, którego nie zmieni jakiś tam Wacek czy arcyhitler.

W artykule „Chłop i diabeł" Suski tak oto piętnuje Krzeptowskiego:

Za zatabaczoną koncesję, ochłap z niemieckiego stołu i uścisk brudnej dłoni herszta międzynarodowych opryszków sprzedał diablu swą duszę łącznie z duszami sobie podobnych (...) ów Wacek oszukał swego diabła, owych Niemców. Za wszystkie otrzymane od nich koncesje, za tytuł führera, nieśmiertelną sławę na Podhalu, oddał Niemcom do paszczy kilkuset Podhalańców, z których część już nie żyje, wymordowana, reszta swej śmierci oczekuje. Stukilkudziesięciu sprzedał do niemieckich oddziałów szturmowych, by współdziałali w tępieniu polskich buntowników, ochraniali i wartę honorową trzymali przy łożu Franka, by lizali dłoń oprawców niemieckich, by dali wreszcie światu i Polsce dowód, że ów najbardziej honorowy polski lud, górale — mają w piersiach duszę lokajską, gotową służyć każdemu, kto lepiej płaci, choćby to nawet był wróg, który jego braci morduje. Czy nie wspaniały interes? Wacek żyje, Niemcy płacą, a Podhale płoni się ze wstydu (...) Podhale splamiło się, zarażone potwornym trądem — krzeptowszczyzną. Splamiło się, lecz mimo to nie uniknęło losu innych, okupowanych przez wroga ziem polskich. Tak jak i tam, w równym stopniu święci tu swoje triumfy niemiecka zbrodnia i gwałt, szaleją pachołcy gestapo i knechty rabunkowych organizacji gospodarczych. Tak jak i tam giną tu ludzie... chłop i diabeł wzajemnie się oszukali. Krzeptowski zyskał niewiele prócz hańby i widma stryczka nad głową, Niemcy — zawiedzione nadzieję i pośmiewisko... Nie udały się zamysły goralenführerowi, gdyż Polską są góry, od których nas nazwano góralami i Polską jest każde drgnienie naszych serc i dusz.

Jednym z przejawów działalności Konfederacji Tatrzańskiej było dążenie do utworzenia własnej siły zbrojnej, tzw. Dywizji , a raczej Legionu Góralskiego. Wobec dużej rozbieżności źródeł na ten temat, ograniczę się do zaawizowania tego faktu, jak również do stwierdzenia, że w akcjach Józefa Kurasia oficera AK „*Ognia*" z Waksmunda, powiązanego na terenie Podhala z ośrodkiem ZWZ, brała udział pokaźna liczba konfederatów z placówki waksmundzkiej, a z ręki „Ogniowców" padło wielu kolaborantów, renegatów i zdrajców, gorliwych propagatorów „Goralenvolku".

Początek roku 1942 przyniósł wzmożoną akcję hitlerowców przeciw konfederatom, na podstawie wcześniejszych ustaleń prowokatora-konfidenta, który wdarł się w konspiracyjne szeregi. 31 stycznia rozpoczęła się fala aresztowań, która praktycznie wyeliminowała z walki organizację. Ale i ta porażka sił patriotycznych nie pomogła skompromitowanemu od początku *Komitetowi Góralskiemu*

Epilog

Renegacka działalność Krzeptowskiego i propagatorów „Goralenvolku", pomimo zaangażowania wielu sił — nie przyniosła rezultatu. Miraż odrębności narodowej, odrębnego tworu administracyjnego, lenna hitlerowskiej Rzeszy, a tym samym lepszego okupacyjnego bytu — rozwiał się stosunkowo szybko. Nawet sztucznie podsycany nie miał szans wobec zdecydowanej postawy znakomitej większości ludności góralskiej. Energiczne i szybkie działanie inteligencji Podhala, w tym niemal całego grona nauczycieli i pedagogów — przyniosło efekt. Druga połowa 1943 roku to osłabienie, zaś rok 1944 — zmierzch: „Komitet Góralski" nie zdołał już nawet zebrać delegacji na Wawel na wrześniowe dożynki. Na działaczy-gorliwców spod znaku „Goralenvolku" wydano szereg wyroków, wymierzonych przez podziemie. W likwidacji rzeczników separacji narodowej szczególnie aktywna była partyzancka grupa Bolesława Duszy z Odrowąża („*Szaroty*").

„Góralski Książę" — Wacław Krzeptowski przez wiele miesięcy chodził z wyrokiem śmierci nad głową. Umiał się jednak pilnować. Na krótko przed wyzwoleniem, 20 stycznia 1945, zwiadowcy Armii Krajowej „wymacali" wreszcie Wacka. Samozwańczy kacyk zawisnął na stryczku.

Nie wszystkich dosięgła sprawiedliwość. Główni inspiratorzy góralskiego separatyzmu — Witalis Wieder i Henryk Szatkowski nie czekali na czołówki 1 Armii Gwardii gen. płk. Andrieja Greczki. Zabrali się z niemieckimi transportami i słuch o nich zaginął. Podobnie było z Andrzejem i Adamem Krzeptowskimi oraz kilku ich wspólnikami. Sąd specjalny w Krakowie skazał ich zaocznie na kary śmierci.

Ujęto natomiast pozostałych aktywistów „Goralische Komitee", przeciw którym akt oskarżenia wystosował wiceprokurator Jan Brandys. Przedstawił całą

(CIĄG DALSZY NA STR. 10)

STEFAN CIEPŁY

Przywiezione z Limanowej

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

mieszkań. Brakuje na kredę oraz środki czystości. Generalnie, w stosunku do wszystkich przedsiębiorstw, które na zlecenie szkół prowadziły jakieś remonty, oświata jest dłużnikiem, który nie zapłacił za wykonane prace. W dzisiejszej sytuacji ekonomicznej przedsiębiorstw tego rodzaju praktyka automatycznie powoduje blokadę wszystkich prac. Nikogo nie stać na kredytowanie. Niszczeć więc będą materiały zgromadzone z najwyższym trudem.

W Limanowej akurat szczęśliwie zakupu węgla dokonano dla szkół na początku roku kalendarzowego. Ale są przecież szkoły w województwie, które choćby z tej przyczyny będą musiały zawiesić nauczanie. Najoszczędniej wyliczone potrzeby limanowskiej oświaty sięgają 125 mln zł i skąd je wziąć, doprawdy nie wiadomo.

Doszło więc na sesji do polemik i starć. Młody naczelnik zarzucił radnym, że uchwalili nierealny budżet. W odpowiedzi usłyszał, że projekt budżetu przygotowali gminni urzędnicy. Przewodnicząca Komisji Oświaty mówiła o przedawniających się dokumentacjach na remonty, które sporo kosztowały, a teraz będą się nadawały do kosza. Wspomniała też o pogorszeniu się zaopatrzenia w podręczniki oraz drastycznie odmalowała wyposażenie w maszyny, narzędzia i surowce szkolnych warsztatów. Radny Marian Wojtanowicz, pracownik nadzoru pedagogicznego w przedmiocie praca i technika mówił, że całe to wychowanie „politechniczne" traci sens, gdy się je sprowadza do „gadania", bo uczeń musi dostać do ręki śrubokręt i pilnik, trochę drewna do obróbki, trochę urządzeń do naprawy, a już o elektronice nie chce wspominać. Dyrektor Szkoły Podstawowej nr 2 w Limanowej, która dzięki wspaniale pracującemu Społecznemu Komitetowi i organizatorowi kolonii rozbudowuje się, a ma największe przegęszczenie, rozpaczał, iż 9 nowych sal lekcyjnych plus kuchnia i jadalnie, które już są w stanie surowym, pozostaną niewykończone, jeśli nie znajdą się środki finansowe. Zastępca dyrektora Szkoły nr 1, gdzie wybudowano nowy segment, prosiła o jedno mieszkanie dla woźnej, które blokuje możliwość połączenia obu budynków przewiązką, a rzecz jest o tyle istotna, że pomieszczenia sanitarne posiada tylko nowy obiekt. Jeśli nie będzie przewiązki, to zimą dzieci będą musiały przebierać się ustawicznie, chcąc wyjść za potrzebą, czy do stołówki na posiłek. Ale dla 9-osobowej rodziny naczelnik mieszkania oczywiście nie ma.

Samemu przedsiębiorstwu gospodarki komunalnej oświata zalega kwotą 30 mln zł — mówił szef Miejskiego Zespołu Ekonomiczno-Administracyjnego Szkół, Zbigniew Kapturkiewicz. — Brak pieniędzy na zakup środków czystości sprawił, iż Sanepid wystawił już 8 upomnień obiektom szkolnym, grożąc ich zamknięciem.

W niektórych szkołach nauczyciele, a nawet dyrektorzy, sami już sprzątają. Co będzie dalej?

Wicekurator Mieczysław Pacholarz pocieszał radnych, że gdzie indziej jest jeszcze gorzej, i zapowiedział rychłe przekazanie przez Wojewódzką Radę Narodową nadwyżki budżetowej. No ale to jeszcze potrwa.

* * *

Limanowa nie byłaby Limanową, gdyby nie miała własnych sposobów zaradzenia kłopotom. Z okazji 45. lecia Polski Ludowej za wieloletni udział i osiągnięcia w Konkursie Gospodarności Limanowa otrzymała 50 mln. zł nagrody. Do tego doszło 20 mln. za IV miejsce w ubiegłorocznej rywalizacji, tudzież 15 mln. od ministra Rynku Wewnętrznego, 10 mln. od resortu Ochrony Środowiska, 8 mln. z Komitetu do spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej, coś tam z Centralnego Związku Mleczarstwa i jeszcze z jakiejś instytucji — aż się uskładało 126 mln. Na dodatek Smoleń na spotkaniu z prezydentem Jaruzelskim przytomnie upomniał się o rewaloryzację nagród, bo czym innym były gdy je przyznawano w maju, a czym innym są dzisiaj.

I z tych to środków Wysoka Rada postanowiła 30 milionami dofinansować oświatę. Oczywiście w zakresie planowanych remontów, bo trudno jej finansować bieżące wydatki budżetu. A reszta powinna się znaleźć w budżecie wojewódzkim albo centralnym. Ten pierwszy adresat, jakby się wykrzywiał, jest o tyle właściwy, że Wysoka Rada do dziś sobie nie może darować przekazania z podatków przeszło 500 mln zł u progu bieżącego roku.

Tak więc do pierwszego stycznia oświata przetrwa, a co będzie dalej, tego nikt nie wie, na czele z nowym ministrem Edukacji Narodowej.

* * *

Obiecałem powrócić jeszcze do interpelacji. Ilustrują one zarówno klimat sesji, jak i dzisiejsze zawirowania oraz kłopoty prowincji. Czynię to w ślad za wystąpieniem naczelnika Dutki, który spokojnie i rzeczowo odpowiadał na nie zawsze wyważone głosy.

I tak — udało się szczęśliwie zakończyć spór o lokalizację Banku PKO, którego konsekwencją mogła być (w wypadku niepowodzenia negocjacji z właścicielami terenu) konieczność zwrotu przekazanych już przez PKO 23 mln. zł. Bez powodzenia przebiegają natomiast interwencje naczelnika w sprawie założenia telefonów dla sołtysów w poszczególnych wsiach. Telekomunikacja miga się, kluczy, przeciąga wszystko w czasie. Kłopoty są także z uzyskaniem stosownych kwot na wyrównanie szkód powodziowych, ale Kanina, gdzie woda kompletnie zabrała kwałek drogi, otrzyma tyle ile trzeba na remont.

Na pytanie, co dalej z muszlą koncertową w Limanowej naczelnik powiedział, że obiekt przekazano PTTK na biura. Na pytanie z sali czy przedszkole nie mogłoby się pomieścić w budynku Komitetu PZPR, członek ZSL chłodno wyjaśnił, iż jest to własność partii i ona sama zadecyduje o jego losach. Wniosek, by wyjazdy komisji problemowych Rady odbywały się wspólnie z pracownikami Urzędu, naczelnik przyjął z aprobatą. Przystanek autobusowy w Rynku — o który się upomniała „Solidarność" — na trasie do Sowlin i z powrotem jest możliwy tylko w jedną stronę, gdyż w myśl opinii MO zagrażałoby to bezpieczeństwu ruchu drogowego. O stomatologa dla Nowego Rybia naczelnik wystąpi do ZOZ-u. Nie będzie natomiast przed zimą remontu drogi w Łososinie, bo i tak wiosną trzeba by ją było od nowa łatać. Budowa świetlicy w Makowicy zostanie dofinansowana, ale tylko w niewielkim wymiarze. Na liczne wnioski o przedłużenie linii WPK naczelnik, niestety, musi odpowiedzieć negatywnie. Dyrekcja przedsiębiorstwa gotowa jest do tego typu posunięć tylko w razie wzrostu liczby pasażerów. Remont szkoły w Kłodnem zostanie dofinansowany, ale wieś musi powołać jakiś społeczny komitet, ktoś musi tego przedsięwzięcia na miejscu pilnować, bo trudno delegować z Urzędu specjalnego pracownika. Niechęć do działania przejawiła się także w kwestii rozdziału mieszkań zastępczych dla biedoty. Tylko „Solidarność" wytypowała przedstawicieli. A co z innymi organizacjami?

Na koniec dostało się jeszcze handlowcom za brak sklepu rybnego, za ceny czekoladek w Mordarce (trzykrotnie wyższe niż w Limanowej), za dostawy artykułów spożywczych i przemysłowych wyłączenie rano, podczas gdy pracujący chcieliby coś jeszcze kupić po południu. Taki to obraz codzienności jawi się na forum limanowskiej Rady. Rady oczekującej na nową ustawę o samorządzie terytorialnym, bo nadal sporo tu zakładów pracy ani złotówki nie świadczących na rzecz budżetu terenowego, a przecież korzystających z dróg, szkół i przedszkoli, ze sklepów i pawilonów usługowych, z urządzeń gospodarki komunalnej. — *Tak dłużej być nie może* — podkreślał przewodniczący Rady. Nie mają z nim łatwego życia zwierzchnicy, no, ale Limanowa zawsze miała dar do stawiania na właściwych ludzi, wiedząc że czyni to we własnym interesie.

STEFAN CIEPŁY

Naprzeciw wątpliwościom

Dlaczego tak drogo?

Zaczynamy dziś wędrówkę po instytucjach życia publicznego, które pełnią funkcje usługowe i z tego tytułu pobierają opłaty. Chcemy wiedzieć, dlaczego usługi są coraz droższe. Czy zrobiono wszystko, aby obniżyć koszta własne? Jak przeprowadzono kalkulację cen — z sufitu, czy uczciwie?

Na początek odwiedziliśmy Grodzką Spółdzielnię Mieszkaniową w Nowym Sączu. Przewodniczący Rady Nadzorczej, **Janusz Biedroń** oraz prezes Zarządu, **Andrzej Żelasko** — prezentują swój punkt widzenia. Czy zyska on uznanie członków Spółdzielni? Prosimy o listy do redakcji.

Za dwa tygodnie — bogatsi o pytania i uwagi Czytelników — ponownie odwiedzimy zarząd Spółdzielni, by przedstawić zebrane wątpliwości, oceny i propozycje. Nasi rozmówcy obiecali udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania. Czekamy zatem na owe pytania, a na razie oddajemy głos prezesom.

★

Andrzej Żelasko: — Od 1 października podwyższyliśmy czynsze. Podwyżka jest znaczna, ale — biorąc pod uwagę wzrost innych cen — nie tak drastyczna, jak się niektórzy spodziewali. Wyniosła ona w zależności od osiedla — w granicach stu lub nieco ponad sto procent. Z tego co wiem, jedne spółdzielnie podniosły czynsze mniej (np. spółdzielnia nowotarska), a inne (np. w Krośnieńskiem czy Zamojskiem) nawet o 50 procent więcej.

Czynsz tworzą składniki zależne i niezależne od spółdzielni. Te pierwsze, tak zwane świadczenia (obecnie jednakowe dla wszystkich: 200 zł od metra kwadratowego mieszkania) obejmują, między innymi, koszty remontów i konserwacji, wywóz śmieci, utrzymanie administracji, działalność społeczno-wychowawczą.

Nie mamy natomiast wpływu na wzrost kosztów centralnego ogrzewania, które z 24 zł za metr kwadratowy podskoczyły do 36 zł. Wzrosły także opłaty za ciepłą wodę — z 9 na 14 zł za metr kwadratowy mieszkania. Od stycznia do września br. koszty eksploatacji dźwigów osobowych wzrosły o 380 procent — na nie także nie mamy wpływu. Tak więc opłata miesięczna za korzystanie z windy wyniesie 60 zł w przeliczeniu na metr kwadratowy mieszkania.

Podwyższono też ceny gazu do 15 zł za metr kwadratowy mieszkania, woda i odprowadzanie ścieków podrożały z 80 na 120 zł za metr sześcienny. Najwięcej — bo aż 8 metrów sześciennych wody zimnej miesięcznie na mieszkańca — zużywa się w osiedlach „Milenium" i „Kochanowskiego", znacznie mniej (3 m sześc.) w osiedlach „Westerplatte" i „Gołąbkowice", tam gdzie jest ciepła woda w kranach (a nie piecyki gazowe). Mieszkańcy nowych osiedli otrzymują dotację z budżetu państwa do ciepłej wody, ale jest to dotacja tylko na papierze: w sierpniu i wrześniu Spółdzielnia żadnych pieniędzy z tego tytułu nie uzyskała. Zgodnie z zapowiedziami rządu dotacja ta może być cofnięta, a to oznaczałoby kolejną podwyżkę czynszów w blokach, gdzie jest ciepła woda.

Idealnym rozwiązaniem byłoby naliczanie takich składników czynszu jak opłata za wodę i ciepło oddzielnie na każde mieszkanie, ale wówczas w każdym lokalu powinny być liczniki (np. do poboru wody czy gazu), a te są nie do zdobycia. Warto jednak, aby instytucje kontrolujące Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej zainteresowały się, czy cenę ciepłej wody i ogrzewania skalkulowano właściwie.

Chcielibyśmy zwrócić się za pośrednictwem prasy z pytaniem do naszych członków: czy wszystkie składniki czynszu obliczać tak jak obecnie (od metrażu mieszkania), czy od ilości osób w nim mieszkających? Czy koszty wywozu śmieci i eksploatacji wind nie powinny być liczone w zależności od ilości osób zamieszkujących w danym lokalu? Jeżeli lokatorzy wypowiedzą się za zmianą sposobu naliczania składników czynszu — wprowadzimy tę zmianą od 1 stycznia przyszłego roku.

Janusz Biedroń: — Członkiem Grodzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej jestem od 19 lat, od 10 lat zasiadam w Radzie Osiedla, a od 6 w Radzie Nadzorczej (której przewodniczę od roku). Na plus tej Spółdzielni muszę zapisać, że nigdy pierwsza nie podnosiła czynszów. Inne spółdzielnie robiły to nieraz dwa razy w roku, a nasza Spółdzielnia zawsze później. Mogła sobie na to pozwolić, gdyż jej wyniki finansowe jako całości są stosunkowo dobre.

Andrzej Żelasko: — Administrujemy 8 tysiącami mieszkań, w których żyje około 30 tys osób. Zatrudniamy — łącznie z załogą naszego zakładu remontowo-budowlanego — przeszło 300 osób. W tym 180 na stanowiskach robotniczych, 110 na nierobotniczych i 20 pracowników kulturalno-oświatowych. W budynku przy ulicy Grodzkiej pracują 32 osoby. Stan zatrudnienia w Spółdzielni, płace i gospodarowanie spółdzielczymi funduszami zawsze były pod kontrolą organów samorządowych. Prawie co roku robimy u siebie atestację, która ma na celu racjonalizację zatrudnienia. W czerwcu Rada Nadzorcza powołała specjalną komisję, która zbadała zakres obowiązków urzędników naszej Spółdzielni. Stwierdzono, że nie można już uszczknąć ani jednego etatu, żeby nie obniżyć i tak niewysokiego poziomu obsługi.

Sami przyznajemy, że ten poziom nie zawsze jest zadowalający, ale czy wynagrodzenia motywują do wydajnej pracy? W ubiegłym roku średnia płaca wyniosła w naszej Spółdzielni 43 tys. zł, w pierwszym półroczu bieżącego roku — 70 tys. zł. Chcemy, żeby na koniec roku średni miesięczny zarobek osiągnął 180 tys. zł, ale czy w grudniu tego roku suma taka usatysfakcjonuje pracowników?

Już dzisiaj mamy kłopoty z zatrzymaniem fachowców, którzy odchodzą z zakładu remontowo-budowlanego do lepiej płacących firm, trudno też o dobrych, odznaczających się kilkoma umiejętnościami, konserwatorów.

Lokator nasz pan, ale nie zawsze możemy wywiązać się z obowiązków wobec niego. Lokator wprowadzający się na przykład do mieszkania z tzw. odzysku ma prawo wymagać, żeby Spółdzielnia zainstalowała mu nową wannę, baterie, kuchenkę, sedes itp. Tymczasem żeby zdobyć te rzeczy, trzeba dokonać cudów. Ostatnio udało mi się załatwić... cztery muszle klozetowe, podczas gdy samych mieszkań z odzysku mamy rocznie około stu. „Junkersy" w ubiegłym roku kosztowały 24 tys. zł, dzisiaj już 269 tys. zł i nadal są nie do zdobycia. Za kuchenkę gazową (160 tys. zł) trzeba dawać „wkład dewizowy" (10 dolarów za sztukę). A przecież lokatora to nie obchodzi, wymaga wszystkiego, co mu się należy i przez ten pryzmat nas ocenia.

Janusz Biedroń: — Pracownicy Spółdzielni muszą być uprzejmi. Ale po sześciu godzinach wysłuchiwania pretensji podenerwowanych klientów i im może się zdarzyć, że wybuchną. Wymagamy grzeczności od innych, zacznijmy od siebie. A niszczenie klatek schodowych, zieleńców, ławek — tak częste w naszych osiedlach? Niewielu lokatorów chce zrozumieć, że za zniszczone trawniki czy sprzęty płacimy wszyscy. Oni również.

Wracając do obsługi lokatorów: najczęściej mieszkańcy stykają się z administracją osiedlową i ta powinna przywiązywać większą wagę do sposobu obsługi lokatorów. Jako przewodniczący Rady Nadzorczej pełnię dyżury i na razie miałem tylko jedną skargę od lokatora na wadliwe funkcjonowanie administracji. Byłem natomiast świadkiem, jak lokatorka telefonicznie zrugała kierownika jednego z Zespołów Administracji Budynków za niedogrzanie mieszkania. W żaden sposób nie dała sobie wytłumaczyć, że Spółdzielnia nie odpowiada za ilość dostarczanego nam ciepła.

Andrzej Żelasko: — Być może wprowadzimy zasadę, że koszty remontu zniszczonej klatki schodowej będą ponosić jej mieszkańcy. Może to ich uwrażliwi i skłoni do większej dbałości o nasze wspólne dobro. Myślę, że wiele dobrego mogłyby zdziałać w tym zakresie komitety blokowe; niestety, brakuje chętnych do społecznej pracy. Ludzie jednoczą się tylko wówczas, gdy zagrożony jest ich własny interes. Ostatnio, na przykład, mieszkańcy „Gołąbkowic" nie chcą wyrazić zgody na budowę kiosku z warzywami przy ulicy Nadbrzeżnej. Na zebraniach narzekają na brak sieci handlowej w nowych osiedlach, twierdzą, że trzeba budować sklepy, byle... nie pod ich oknami.

Janusz Biedroń: — Ludzie działają społecznie do czasu otrzymania kluczy. Potem ich zapał mija. Spośród prawie 10 tysięcy mieszkańców osiedli „Westerplatte" i „Gołąbkowice" — na zebrania przychodzi 50 osób. Jak więc wybrać organa samorządowe spółdzielni? Niewielu garnie się do pracy społecznej. Czyżby w naszej Spółdzielni było tak dobrze, że nikt nie ma żadnych problemów? A może aż tak źle, że przestano wierzyć w możliwość poprawy? Sądzę, że prawda leży pośrodku; trudne czasy nie sprzyjają rozwojowi i prężnej działalności organów przedstawicielskich. A szkoda, bo jest sporo do zrobienia: choćby właściwe zagospodarowanie placów zabaw dla dzieci, czy racjonalny rozwój sieci handlowo-usługowej. Marzy mi się zabudowanie punktami handlowo-usługowymi alei Henryka Sucharskiego, mini-bar w osiedlu „Gołąbkowice", ładnie wkomponowane w architekturę osiedla garaże. Możemy o tym decydować wszyscy — członkowie Grodzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Fot. ANTONI ŁOPUCH

Notowała DANUTA BINEK

SPOD TRZECH KORON

Po 35 latach istnienia została zlikwidowana w Czorsztynie stacja paliw CPN. Przez lata służyła ona mieszkańcom okolicznych miejscowości oraz zmotoryzowanym turystom, którzy licznie odwiedzają rejon Pienin. I oto mamy do czynienia z kolejnym paradoksem, jakich namnożyło się aż nadto przy okazji budowy zapory czorsztyńskiej. Bo jakże inaczej nazwać oczywisty fakt pozbawienia dużej ilości właścicieli samochodów oraz ciągników rolniczych j e d y n e j w tym rejonie placówki CPN?

O tym, że budowa zapory pociągnie za sobą likwidację stacji, wiedziano nie od dzisiaj. Powinna była również wiedzieć krakowska dyrekcja (której podlegają wszystkie stacje CPN) i wcześniej przedsięwziąć starania o przeniesienie czorsztyńskiej stacji w inne miejsce, poza obręb zalewu. Nic takiego jednak się nie stało.

Dopiero miesiąc temu przedstawiciele wzmiankowanej instytucji pofatygowali się, by podjąć stosowne rozmowy z władzami gminnymi. Spisano odpowiednie porozumienie, mocą którego Urząd Gminy w Czorsztynie ma zapewnić lokalizację, pieniądze wyasygnuje Okręgowa Dyrekcja Gospodarki Wodnej, zaś CPN opracuje dokumentację. Ustalono, że potrwa to około trzech lat, a więc nowa stacja zostanie oddana do użytku najwcześniej w roku 1992.

Nic dodać, nic ująć. Pozostaje tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Przezorni twierdzą, że ciepłe palto należy kupować latem, natomiast strój kąpielowy — w zimie. Tę ludową mądrość należałoby odnieść i do takiego banalnego z pozoru problemu, jak zakup węgla. Jeszcze wczesnym latem tego roku składy spółdzielcze „Samopomocy Chłopskiej" pękały w szwach. Spółdzielnie wpraszały się z opałem, bo zalegający w magazynach towar to zamrożony pieniądz, od którego trzeba płacić bankowi niemałe odsetki.

Dzisiaj sytuacja wygląda zupełnie odmiennie. Place zaczynają świecić pustkami, a pytających o węgiel coraz więcej. Nierzadko odchodzą oni od okienka kasowego z przysłowiowym „kwitkiem". Prognozy na najbliższy kwartał, niestety, nie przedstawiają się najlepiej. Z informacji dyrektora Zakładu Zaopatrzenia Rolnictwa WZGS w Nowym Sączu, mgr. Tadeusza Laskowskiego, wynika, że mogą w IV kwartale wystąpić braki węgla w naszym województwie. Na złożone zamówienie 106 tys. ton Centrala Zbytu Węgla przyjęła do realizacji jedynie 38 500 ton, a więc znacznie mniej niż połowę zamówienia. Istnieją uzasadnione obawy, że opału może nie wystarczyć dla wszystkich, trzeba się zatem pospieszyć z zakupem.

ANDRZEJ NIEMIEC

Zaprosili nas

- Wicewojewoda Zbigniew Barylak na posiedzenie Wojewódzkiej Rady do Spraw Młodzieży;
- Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Książki do Starego Sącza na IX Walny Zjazd Delegatów;
- Galeria Biura Wystaw Artystycznych w Zakopanem na wystawę rysunku Anny Górskiej „Krótkie opowiadania";
- Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu na Ogólnopolską Wystawę Pasteli Nowy Sącz '89;
- Zarząd Wojewódzki Ligi Obrony Kraju na Międzynarodowe Zawody Modeli Samochodów;
- Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji w Nowym Targu na mecz międzypaństwowy piłki nożnej kobiet.

Przechodniu, powiedz Polsce...

Wstęgę tej wystawy przeciął najstarszy z tutejszych uczestników wojny, osiemdziesięciokilkuletni dziś major **Jan Budarkiewicz** odznaczony Krzyżem Virtuti Militari za kampanię wrześniową — wtedy rotmistrz. Władze miasta pospieszyły z wyrazami uznania dla Autora, kombatanci byli wzruszeni i bardzo wdzięczni, w dowód czego stanęli do pamiątkowego zdjęcia z twórcą wystawy. Niektórzy rozpoznali na fotografiach swoich bliskich.

Autor ekspozycji, przewodniczący Komisji Młodzieżowo-Historycznej nowotarskiego Koła ZBoWiD, **Jacek Paszyński**, zgromadził na użyczonej mu w Miejskim Ośrodku Kultury przestrzemi około ośmiuset zdjęć objętych hasłem „Udział żołnierza polskiego w II wojnie światowej". Jest to zaledwie część materiałów pracowicie, własnym sumptem reprodukowanych przez długi czas. Mundur wrześniowego wojaka, połatany i przetarty — obraz polskiej doli, mundur żołnierza z brygady płk. Stanisława Maczka ofiarowany przez por. Stefana Polaka, rdzą nadżarte łuski pocisków, autentyczne odznaczenia bojowe i naszywki na rękawach żołnierzy z różnych formacji walczących na różnych frontach — wszystko to czyni obraz tragicznych dni bliższym, namacalnym.

Wstępujące pokolenie zna naczelne dowództwo sił zbrojnych II Rzeczypospolitej co najwyżej z nazwiska, podręczniki historii nie mieszczą już portretów. Tu można oglądać twarze całego sztabu i zostają one w pamięci — jak łysina Edwarda Rydza-Śmigłego czy bujny zarost Mariana Keniga, dowódcy robotniczej obrony Warszawy. Za szybami wypełnionych szczelnie plansz — także wojenne odezwy, ulotki, karykatury kreślone dla podziemnej prasy, plany obiektów, mapy z naniesionymi kierunkami natarć. Wszystkie ważniejsze epizody II wojny zostały tu ujęte i zilustrowane, począwszy od obrony Poczty Gdańskiej, Helu, Kępy Oksywskiej. Tylko wydarzeń z 17 września 1939 roku — bo brak tu dostępnych materiałów — nie udało się pokazać na otwartej 1 września wystawie. Plansza z tekstem komunikatów wojskowych, którą Autor uzupełnił lukę w ekspozycji, wprawdzie nie zastąpi materiału zdjęciowego, ale może już wkrótce migawki z zajść na wschodnich rubieżach zaczną opuszczać strzeżone archiwa.

Zbrodnie dokonywane na jeńcach polskich tuż po wkroczeniu niemieckich wojsk jakimże są kontrastem dla propagandowego gestu oddania honorów majorowi Sucharskiemu... Zgromadzony materiał mówi znacznie więcej niż tytuł wystawy, odkrywa różne oblicza wojny, pokazuje ludzi postawionych wobec grozy nieobjętej, niezawinionej.

Ponoć uchowało się w Polsce ledwie kilka zdjęć partyzantów majora *Hubala* — Henryka Dobrzańskiego. Fotografia zwłok dowódcy leśnego oddziału z Niemcami w pozach triumfatorów nad tym ciałem to najbardziej przerażający dokument zwyrodnienia i buty. Dużo jest na wystawie zdjęć wstrząsających, zdjęć o potężnym ładunku emocjonalnym. Każda z przedzielonych grubą linią części wystawy mogłaby z powodzeniem stanowić osobną ekspozycję: bitwa o Narwik, bitwa o Arnheim, bitwa o Tobruk, bitwa o Wielką Brytanię czy tragiczne zmagania na wzgórzu Monte Cassino w upale, pragnieniu, wśród padłych mułów, pod obstrzałem sześciolufowych „nabelwerferów" — to hasła potraktowane obszernie, z wielką dbałością o szczegół. Na liście uczestników walk pod Monte Cassino mogli się odnaleźć członkowie nowotarskiego Koła ZBoWiD: **Anna Jung, Jan Starczowski, Zbigniew Żółczyński.** Inskrypcję z miejsca, gdzie zaiste *wolność krzyżami się mierzy* trudno minąć obojętnie, gdy głosi: *Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w Jej służbie.* Trudno przejść nieporuszonym także obok zdjęć walczącej Warszawy, Warszawy, w której porwali się na niemiecką potęgę jedenastoletni kaprale, z której wychodzili pokonani z podniesionym czołem, ogoleni, w wyczyszczonych butach.

Przez formowanie I Armii Wojska Polskiego nad Oką, przez bitwę pod Lenino, walkę o Kołobrzeg i Wał Pomorski, przez stanowienie granic i wbijanie słupów — doprowadził Autor ekspozycję do obrazu polskiej flagi na gmachu Reichstagu. Tak waga symbolu przeniknęła się tu z powagą dokumentu.

Wojenna wystawa wkomponowana była w program obchodów pięćdziesięciolecia wybuchu II wojny światowej, ale z bardzo dużym materiałem zdjęciowym, który na pewno trudno było selekcjonować, Autor pozostał sam, pomoc w tworzeniu oprawy plastycznej i komponowaniu ekspozycji była ze strony MOK więcej niż skromna. Ponad tysiąc podpisów wykonała odręcznie Pani, która nawet nie chce ujawnić swojego nazwiska. Temu trudowi poświęconemu pamięci poległych towarzyszy broni należy się szacunek. A kilka krytycznych głosów i recenzje profesjonalistów post factum oby w przyszłości zastąpiła życzliwa rada w trakcie przygotowywania i komponowania wystaw...

Jeszcze przez październik zaprasza Autor do obejrzenia i przeżycia ekspozycji — zaprasza zwłaszcza młodych, rówieśników kaprali z powstania warszawskiego, rówieśników poety, który zginął w pałacu Blanka.

(szop.)

Trzeci od lewej — mjr Jan Budarkiewicz

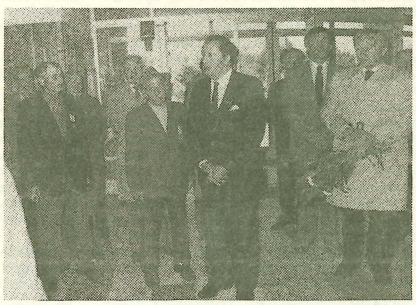

Fot. JACEK PASZYŃSKI

Wanda Łomnicka-Dulak

Płacz jesieni

deszcz
cichy płacz jesieni
zmył
witraże lata
misternie ułożone
z pól barwionych plonem
oszczędził tylko
odcienie złota i rdzawości
splecione z granicą horyzontu
w największy wieniec dożynkowy
mieniący się jarzębiną i wrzosem
ofiarowany
niebu
w podzięce
za słońce
przedziwną
moc
rodzenia.

W Galerii przy dworze

Rok temu, wystawą „Nowotarskie prezentacje", rozpoczynała żywot łopuszańska galeria. Obiekt, staraniem Muzeum Tatrzańskiego zaadaptowany z przydworskiej piwnicy na świątynię sztuki, ulokował się zrazu w czaso-przestrzeni dość osobliwej: gdzieś między historią, którą chłonęły białe ściany szlacheckiej siedziby a współczesnością uosabianą przez sztukę młodego pokolenia. Usytuowanie przy drodze z Podhala wiodącej ku Szczawnicy i Sączom, pod bokiem zwiedzanego chętnie dworu w Łopusznej — stwarzało Galerii jedyne w swoim rodzaju szanse i warunki. Kolebowo sklepiona piwnica zachowująca we wnętrzu stałą temperaturę i wilgotność, przytulne drewniane poddasze — to przestrzeń, zdałoby się, wymarzona dla kulturalnych inicjatyw i niebanalnych pomysłów. Cóż, kiedy w międzyczasie sferę nieprodukcyjną — jak zresztą wiele innych sfer — dotknęła finansowa mizeria i placówkom kulturalnym przyszło ograniczyć działalność a niektóre podupadły. W przypadku Łopusznej samo umieszczenie przy drodze Nowy Targ — Szczawnica większej wizytówki Galerii okazało się realne dopiero po zebraniu czterech podpisów, wykonawcy zaś do tego czasu nie uporali się z tablicą. Zbiedniałe Muzeum Tatrzańskie z rzadka tylko może sobie pozwolić na sponsorowanie wystaw, koszta reklamy (zwłaszcza drukowania katalogów) wzrosły astronomicznie. Wpuszczenie ajenta do obiektu i uruchomienie tam np. kawiarni wiązałoby się z obustronnym ryzykiem. Tak więc Galeria zdana jest wciąż na łaskawość stuletniej zakopiańskiej placówki.

W niełatwej dla kultury i sztuki dobie gospodarujący teraz we dworze i w Galerii **Jan Makowski** — łopuszanin i sam artysta — zorganizował jednak tworzącym kolegom kilka wystaw. Ostatnio gościł ze swoimi pracami w łopuszańskiej piwnicy nowotarski plastyk **Jacek Szmidt**, trzy utalentowane panie z Zakopanego pod szyldem „Anna, Maria, Ewa" prezentowały swoje malarstwo i tkaninę artystyczną.

Z końcem września Galeria znów zapełniła się obrazami — tym razem **Marcina Ozorowskiego.** Pracowitością i czymś, co można chyba nazwać malarskim temperamentem, wyróżnia się ich autor w gronie młodych plastyków związanych z Nowym Targiem. Kilkanaście dużych płócien trudno uznać za przegląd twórczości — są raczej plastycznym zapisem fragmentu jakiejś wewnętrznej epopei, jakiegoś — dalekiego już — etapu poszukiwań indywidualnego wyrazu.

O malarstwie Marcina Ozorowskiego **Krzysztof Augustyn Frys** napisał:

Dotyka problemu dramatu ludzkiej egzystencji (...) czyni to jednak w sposób, jakiego zgnębieni ludzie oczekują. Marcin z natury jest optymistą i czuje się to wyraźnie w jego twórczości. Nie odwzorowuje widzialnej sfery natury, choć przecież nie uwalnia się od niej. Przedstawia postacie ludzkie w codziennych doświadczeniach, na tyle jednak oddalone od materialności, iż czujemy, że chodzi tu raczej o ludzkie wnętrza. Ostre napięcia kierunków, walorów, linii i plam barwnych wywołujących niepokój dramatu są niejako źródłem witalności i ekspresji, która swoje pełne brzmienie uzyskuje dzięki niezwykłej grze kolorów. Tkwi w nich mocny ładunek radości. Oglądanie jego obrazów sprawia mi po prostu przyjemność. Jako plastyk i muzyk czuję w jego malarstwie tonikę, bowiem gra barw jest tu niezwykłym współbrzmieniem.

Dodajmy, że malarstwo młodego nowotarżanina ma także warstwę literacką i, głębiej — filozoficzną. Czasem przejawia się owa literackość tytułem, który staje się metaforą jakby Gombrowiczowską — taki jest *Ukrzesławiony bez skazy*, tacy są *Ławkowcy obdarci*. W sztuce Marcina ważne jest usytuowanie człowieka wobec świata i życiowych wypadków. Zewnętrzność może być agresywna, nieprzyjazna i sugestie takie kryją się w tryptyku *Przejście ograniczone*, w obrazach *Pożerane Libido, Upadek w zamknięciu, Niebezpieczne wypełnienie* czy *Rozpięty*, ale ludzką rzeczą jest aktywność mimo lęku, próbowanie mimo ryzyka, szukanie pośród błędów i zagrożeń, chwytanie drżącej chwili w przemijaniu. I wszystko ma swój etyczny walor. Ten malowany dramat bytowania jest w obrazach Marcina Ozorowskiego tożsamy z barwnym widzeniem, z rzadko spotykanym wyczuciem koloru. Ile intrygujących tonów i odcieni wydobyć z *Fioletu tęsknoty*, z *Błękitu tła* i *Ciepła czerwieni* — mogą powiedzieć oku tylko barwne plamy i linie rozgadane w prostokącie ram. Eksperymentowanie z kolorem czasem tak uwodzi rękę malarza, że olejne przedstawienia odchylają się w kierunku abstrakcji, tracąc wyrazistość egzystencjalnej metafory.

A magia słowa dobrze służy światom odczuć i wyobraźni, co udowodnił autor zapraszając na otwarcie aktorów, by mową wiązaną stworzyli klimat wystawy, która jest piątą indywidualną, lecz na pewno nie będzie ostatnią wystawą Marcina Ozorowskiego.

(szop.)

Podhalańczycy

Dawno w sądeckim Muzeum Okręgowym nie było tak tłoczno, jak podczas otwarcia wystawy ukazującej dzieje 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. Dokumenty, fotografie, mundury, broń i medale z lat międzywojennych ze wzruszeniem oglądali starsi sądeczanie, z zainteresowaniem — młodzi. Większość eksponatów wypożyczono na wystawę z prywatnych zbiorów. Sporą część cennych pamiątek udostępnił historyk z Katowic, **Wojciech Moś** (autor wydanej właśnie przez Krajową Agencję Wydawniczą książki „Strzelcy Podhalańscy"), kolekcjoner zakochany w formacji „Podhalańczyków", w której służył jego ojciec.

Wśród zaproszonych na wernisaż gości znaleźli się weterani — oficerowie 1 Pułku: kapitan **Roman Zaziemski**, kapitan **Józef Kanikuła** oraz major **Roman Karpiel**. Kapitan Roman Zaziemski (mimo 99 lat — w świetnej formie) przypomniał początki powołanego 1 grudnia 1918 roku 1 PSP. — *W ostatnich dniach I wojny światowej ściągali do Sącza żołnierze 20 pułku piechoty austriackiej, powracający z frontu nad Piavą we Włoszech szlakiem gen. Henryka Dąbrowskiego, oraz 32 pułku pospolitego ruszenia austriackiego (gdzie służyli mieszkańcy Nowego Sącza, Gorlic, Zakopanego i Nowego Targu), którzy przetrwali walki pod Verdun we Francji. Przeczuwając koniec wojny oraz upadek monarchii austriackiej, w oddziałach gromadzili się ochotnicy z Podhala i Podkarpacia. Członkowie tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej już w październiku rozbrajali wojsko zaborców, obsadzali urzędy, koszary i składy broni. Na miejsce obcych oficerów i weteranów powoływano młodych ludzi; rekrutacje prowadziły starostwa w Nowym Sączu, Gorlicach, Limanowej i Nowym Targu. W chwili upadku Austrii Pułk liczył trzy tysiące żołnierzy i osiemdziesięciu oficerów w kilkunastu kompaniach. Nazwę nadał Pułkowi rodowity góral, generał Andrzej Galica, twórca górskich oddziałów. Po nim dowodził generał Wacław Przeździecki, dawny oficer armii carskiej, zakochany w tradycjach podhalańskich i górach. Z 1 PSP był związany m.in. generał Józef Kustroń i wielu bohaterów ostatniej wojny. Przed pięćdziesięciu laty „Podhalańczycy" wyruszyli do walki z hitlerowcami i już nie wrócili do swego garnizonu. Pozostali w pamięci, w tradycji miasta i na kartach historii.*

Ogrom informacji zgromadzonej w odezwach, wycinkach z regionalnej prasy, wojskowych rozkazach oraz listach, ułożonych chronologicznie — od 1918 do 1939 roku — wymaga uważnego wczytania się w dokumenty. Nie tylko wydarzenia, takie jak wizyta w Sączu prezydenta Ignacego Mościckiego (w październiku 1928 roku), który wręczał Pułkowi sztandar, odwiedziny Marszałka Piłsudskiego (w latach 1921 oraz 1928), Naczelnego Wodza, generała Edwarda Rydza-Śmigłego w 1936 roku — zbiegające się zawsze z kolejnymi rocznicami utworzenia 1 PSP — odnotowują stare fotografie i plakaty. Wiele można się także dowiedzieć o codziennym życiu żołnierzy, imprezach sportowych i kulturalnych, inicjatywach społecznych, takich jak budowa świetlicy żołnierskiej w Sączu *dla nieumiejących czytać i pisać*, by poza władaniem bronią *uczyć także wartości moralnych i wychowywać*.

Są wśród zgromadzonych pamiątek kapelusz podhalański ofiarowany Piłsudskiemu w 1933 roku wraz z peleryną i ciupagą, paradne szable oficerskie z lat dwudziestych, galowy mundur oficerski, fotografie rodzinne i pułkowe. Jest pierwsza fotografia przedstawiająca formujący się w Sączu pułk z kapitanem Julianem Siwakiem oraz ostatnia — z rewii wojskowej w 1938 roku. Miesiące poprzedzające tragiczny Wrzesień zapowiadają wojnę — w odezwach do ludności Nowego Sącza zachęcających do świadczeń na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej i Fundusz Obrony Narodowej, w ogłoszeniu powszechnej mobilizacji.

Szkoda, że nie zdążono na czas przygotować folderu z zarysem dziejów 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. Wystawa będzie czynna do końca roku.

L.K.

Starszy strzelec Henryk Dopala
Repr. Piotr Droździk

Synowa

Minęło już dziesięć lat od naszego ślubu, ale rodzina męża nadal jest mi zupełnie obca. Właściwie nigdy nie było okazji, aby rodziny — moja i męża — spotkały się w komplecie. Ich reprezentacje stanęły oko w oko tylko na naszym ślubie i weselu. Z tym, że siły były zdecydowanie nierówne. Mąż pochodzi z niewielkiego miasteczka, rodzinę ma bardzo rozległą, do dzisiaj czuję się zagubiona wśród licznych ciotek, wujków, kuzynów, wielu z nich trudni się rzemiosłem tej samej branży, łączy ich pokrewieństwo i interesy. Ja jestem jedynaczką, do mojej rodziny, oprócz mamy i ojca, należy brat ojca z żoną i dziećmi, ciotka i kuzyn. Podobno kiedyś nasza rodzina też była liczna, ale jedni zginęli, inni z wojennej tułaczki wrócili schorowani i młodo umarli, jeszcze inni rozpierzchli się gdzieś po kraju...

Pamiętam, że podczas ślubu moja mama na widok rodziny męża powiedziała: — *Boże, jak ich dużo!* Ciotka składając życzenia szepnęła mi do ucha: — *Rozejrzyj się dookoła, tylu lisów naraz już nigdy nie zobaczysz!* Istotnie, wszędzie były lisy: srebrne, białe, rude, niebieskie, na głowach, przy szyjach. Oszałamiające wrażenie!

Druga strona, jak się później dowiedziałam, poruszona była skromnością reprezentacji mojej rodziny, podejrzewała, że zrobiono im afront, nie stawiając się na weselu. Potem ktoś przywiózł wiadomość, że moi krewni byli na ślubie niestosownie, bo za mało godnie ubrani. Mało wyszukany okazał się też weselny obiad, choć ja odniosłam wrażenie, że stół ugina się od półmisków. A naszą podróż do ślubu dorożką uznano za kompletne dziwactwo. Teściowie jechali za nami dopiero w pewnej odległości, „polonezem". W czasie wesela nikt już oczu nie wytrzeszczał, było wesoło i bardzo sympatycznie. Szkoda, że nie dla mnie: chciałam po ślubie podjąć tylko teściów obiadem. Początkowo myśleli, że to żart. — *A co z poprawinami?!* — krzyczał teść. Potem ja płakałam w jednym kącie, a teściowa w drugim. Mąż doprowadził do zawarcia kompromisu: poprawiny nie odbędą się z takim rozmachem, jak chcieliby teściowie, ale i nie po kryjomu.

Postanowiliśmy rozszerzyć listę gości o rodzinę męża. Teściowie kilkakrotnie zmieniali listę. Ale i tak sporo było obrażonych, a dwie ciotki oficjalnie nas zawiadomiły, że wobec takiego afrontu nie będą z nami utrzymywały żadnych kontaktów; jedna obrażona jest na milcząco, zaś druga po dzień dzisiejszy dostarcza całemu miasteczku rewelacji na nasz temat.

Po ślubie zdarzyło mi się poznać innych członków rozległej rodziny małżonka w okolicznościach — z perspektywy — zabawnych. Otóż przez dobrych kilka miesięcy, przynajmniej raz w tygodniu, gościliśmy kogoś. Okazało się, że wujkowie i kuzyni mają rozliczne interesy w Nowym Sączu i wpadali do nas bez zapowiedzi. Bywało i tak, że ktoś pukał, przedstawiał się: — *Jasiek jestem...* I dopiero przy kolacji gość i mąż analizowali, jaki łączy ich stopień pokrewieństwa. Nasze dwadzieścia trzy metry kwadratowe bez kuchni bardzo nieudolnie spełniały rolę pokoi gościnnych z pełnym wyżywieniem. A w dodatku obydwoje pracowaliśmy w domu, także popołudniami. Tak dłużej nie mogło być! Więc doszło do pierwszych małżeńskich nieporozumień. Żądałam od męża: — *Wytłumacz tej swojej rodzinie, że nasza klitka, to nie hotel!* Mąż oponował, że krewnych za próg nie wyrzuci, ale... w końcu postawiłam na swoim.

Drugi raz naraziłam się rodzinie męża, gdy umarł najmłodszy brat męża, z którym się przyjaźniłam. Na cmentarzu zgromadziła się cała rodzina męża. Sporo osób witało się radośnie, dopytywało co słychać u Jadzi, co dzieje się z Ziutką, załatwiało jakieś swoje sprawy. Nie mogłam tego znieść, ośmieliłam się przypomnieć, że jesteśmy na pogrzebie. Gwar i szepty ucichły, ale była to cisza przed burzą. Teściowie poczuli się dotknięci do żywego: zepsułam uroczystość, obraziłam rodzinę. Znów padło ulubione wyrażenie: zachowałaś się niegodnie.

Po jakimś czasie — kolejne nieporozumienie. Nie chciałam urządzić hucznych chrzcin, a w dodatku przepuściłam pieniądze. Teściowie po urodzeniu się naszego synka dali nam pewną kwotę. Kupiliśmy dziecku co potrzeba, rodziców chrzestnych podjęliśmy lampką koniaku, a za resztę zafundowaliśmy sobie dwa tygodnie w Bułgarii, pozostawiając synka pod opieką cioci. A tymczasem okazało się, że za ofiarowane nam pieniądze powinniśmy bezwarunkowo wyprawić chrzciny. Teściowa stwierdziła, że do głowy jej nie przyszło, aby nas o tym uprzedzić, każdy — według jej słów — rozumie, że najpierw obowiązek, a potem przyjemność. Poza tym miała pretensje, że wyrzuciliśmy pieniądze w błoto, bo zamiast kupić sobie coś porządnego do ubrania, wybraliśmy wczasy. Tym razem nie wytrzymałam i powiedziałam, że każdy swoje szczęście widzi inaczej i co innego jest dla niego ważne. Skoro ja nie wypominam teściowej, że w jej szafie wiszą trzy nowe palta, ale żal jej na opłacenie wczasów, to niech ona pozwoli mi chodzić w starej kurtce i wyjechać, gdzie mi się podoba. Czekałam na rewanż ze strony teściowej, ale ona tylko powiedziała: — *Rób jak chcesz, moje dziecko...*

Wiem, że już nigdy nie będę dla nich „kochaną synową", raczej pozostanę tą „dziwną żoną Zbyszka". Mój teść zwykł mówić: — *Dajcie jej spokój, ona jest inna.* A ja sobie myślę: — *Jacy oni są inni...*

Notowała DANUTA BINEK

JAN POPRAWA

GWIAZDOZBIÓR

Frąckowiak

Znajomy, stały czytelnik „Gwiazdozbioru" (przy okazji z przyjemnością i nie bez dumy stwierdzam, że są tacy!) — ma zwyczaj wypytywania mnie o plany. Nie może, niebożątko doczekać się sylwetki pewnej piosenkareczki, szczególnie mu bliskiej. Mnie zaś, wzruszonemu wieloletnim (tak!) zainteresowaniem — nie chce, bestia, zdradzić nazwiska owej piosenkareczki. A przecież sprawiłbym chętnie przyjemność człowiekowi... Coś mi się jednak zdaje, że przekonanie znajomego do talentu jego ulubienicy jest jednak mniejsze, niż przeświadczenie o innych walorach. I gorące apele Redakcji, bym nie ranił uczuć Szanownych Czytelników nadmierną (a szczególnie złośliwą) krytyką ich ulubieńców — mogłyby nie poskutkować...

Jednego wszakże jestem pewien. Podobnie jak w ubiegłym, tak i w tym felietonie — nie urażę gustów przyjaciela. Bohaterką poprzedniego tekstu była Marianna Wróblewska. Dziś zaś chciałbym o Halinie Frąckowiak. Obie panie są dla mego kolegi zbyt, że tak powiem, dojrzałe.

Wypominanie wieku kobiecie jest oczywistym przejawem chamstwa, które sobie z góry wyrzucam. Cóż wszakże ma zrobić biograf (niechby i felietonista), skoro bohaterka jego tekstu przedstawiona być musi przynajmniej z najważniejszych faktów swej kariery? I gdy okaże się, że faktów jest zbyt wiele?

Halina Frąckowiak jest niewątpliwie jedną z najpoważniejszych dziś postaci polskiej estrady piosenkarskiej. Dochodziła jednak do tej pozycji przez lat przynajmniej dwadzieścia. Czy wolno więc pomijać rozmaite artystyczne meandry tak długiej kariery? Tylko za cenę przemilczenia wieku artystki?

Debiutowała jeszcze jako licealistka, gdzieś na Ziemiach Odzyskanych czy w Wielkopolsce. Pojawiła się na modnych w latach sześćdziesiątych konkursach piosenkarzy-amatorów. Już wówczas fachowcy „z branży" przejawiali spore zainteresowanie niewypierzonym podlotkiem. Wszelako ten, zgodnie z upodobaniem swego pokolenia — wybrał był tzw. „big-bit" (młodzieży przy tej okazji tłumacze: „big-bitem", czyli „mocnym uderzeniem" zwano u nas przed laty szczególną polską mutację popularnego w świecie rocka).

Młodociana (a przynajmniej wciąż młodziutka) Frąckowiakówna pojawiła się więc na estradach i telewizyjnych ekranach z rozmaitymi zespołami, takimi jak „Drumlersi" czy „Grupa O", później przemianowana na „ABC...". Wszelako na polskim „rynku rozrywkowym" decydowały w owym czasie interesy publiczności dorosłej, nie młodzieżowej. O karierze piosenkarki lub piosenkarza decydowała telewizja, radio, nagrania (i to nie ich sprzedaż na płytach — lecz ilość oraz częstotliwość odtworzeń „na antenie"). Do tego kręgu, zazdrośnie strzeżonego przez wujaszków z ZAIKS (autorów żyjących z tantiem od nagrań i odtworzeń właśnie) — bardzo trudno było się dostać młodemu artyście. I nie wiem doprawdy, czy nie świadomość tego faktu zdecydowała o przekształceniu się Haliny Frąckowiak z młodzieżowej refrenistki — w bywalczynię festiwalowych schodów...

Oczywiście podejrzenie to nie jest poparte jakimkolwiek potwierdzeniem. Poza faktami: już w latach siedemdziesiątych trudno było sobie wyobrazić jakikolwiek festiwal piosenki w Polsce bez udziału Frąckowiak. Co więcej — nadzwyczajnie zgrabna ta artystka wnosiła zazwyczaj na festiwalowe estrady element obyczajowego (a może tylko garderobianego?) skandalu. Pojawiała się na estradzie np. Opola w sukni jako żywo przypominającej ementaler, tzn. składającej się z dziur. I tak dalej.

Oczywiście było to świadome — i skuteczne — oddziaływanie młodej artystki na masową wyobraźnię. Trzeba bowiem powiedzieć, że samym śpiewem Frąckowiak zapewne nie zrobiłaby wówczas przesadnej kariery. Ośmielam się sądzić, że naturalniejszą formą jej estradowej wypowiedzi było jednak „big-bitowe" śpiewanie, w którym pobrzmiewały dalekie echa Arethy Franklin i innych murzyńskich gwiazd „soul". Charakterystyczne załamania głosu Frąckowiakówny, jego niewyrównana barwa itp. cechy, raziły dość długo w repertuarze „wielkofestiwalowym", jaki przedstawiała artystka w latach siedemdziesiątych...

Z czasem wszakże wszystko się zmienić może. Lata występów sprawiły, że czysto techniczne niedostatki jej śpiewu zostały wyrugowane. W latach osiemdziesiątych możemy mówić o artystce absolutnie dojrzałej, interesującej nawet.

Paradoks sztuki polega m.in. na tym, że dopiero gdy artysta opanuje perfekcyjnie warsztat ukazuje się jego ewentualny talent. Wcześniej mowa być może co najwyżej o predyspozycjach. Halina Frąckowiak umiejętności zdobywała rzeczywiście długo. Ale gdy je posiadła — udowodniła wszystkim, iż jest wrażliwą i bardzo inteligentną interpretatorką. Że wykracza daleko przed szereg muzykalnych refrenistek, które owszem, wszystkiego nauczyły się w Akademii Muzycznej, ale nic nie mają do powiedzenia od siebie. Zupełnie jak Michał Korybut Wiśniowiecki, o którym współcześni mówili, że zna siedem języków i w żadnym nie ma nic do powiedzenia...

Halina Frącowiak jest dziś estradową damą. Nie ukrywa swego dojrzałego wieku — ba, przy świetnej wciąż sylwetce zdaje się jakby swymi latami szczycić. I wciąż doskonali swój kunszt. Brawo!

Jaka partia?

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

żniwo krytyki za nieudane reformy gospodarcze i brak konsekwencji w realizacji uchwał, zmusza do szybkiej przebudowy organizacji według nowych zasad programowych. Żadne zmiany kosmetyczne nie wystarczą. O głębokości przemian zadecyduje Zjazd. Trzeba partię uczynić atrakcyjną dla członków i bezpartyjnych, przyciągnąć nowych ludzi. Musimy jednak wyraźnie określić: czyje interesy będzie reprezentować partia, jaki jest nasz stosunek do prawa własności, co uznajemy dziś za socjalizm i jakie wartości powinny jednoczyć siły, które utożsamiają się z lewicą społeczną. Myślę, że głównym kryterium pozostaną dla nas podstawowe idee socjalizmu.

Nie możemy poddawać się psychozie zmarnowanych ponoć czterdziestu pięciu lat, ani też iść na Zjazd w poróżnionych grupach, podzieleni na rozmaite orientacje polityczne.

Do wydarzeń w ZNTK powrócił I sekretarz tamtejszego Komitetu Zakładowego, **Bogusław Tucznio**: — O godzinie 10 rano dwustuosobowa grupa pracowników pojawiła się pod budynkiem administracyjnym. Niesiono transparenty *„Partia i ZSMP za bramę”, „Chcemy pracować, nie politykować”*. Dzień wcześniej przewodniczący zakładowej „Solidarności” uprzedził dyrektora, iż KZ będzie wyprowadzany z przedsiębiorstwa. Przed rozpoczęciem manifestacji przedstawiciele „Solidarności” udali się do dyrektora uzgadniać sprawę pomieszczeń dla organizacji. Tymczasem manifestanci odkręcili tablice informacyjne Komitetu Zakładowego partii oraz Zarządu Zakładowego ZSMP. Nie reagowali na próby podjęcia rozmów. Przewodniczący „Solidarności” odciął się od incydentu, wyrażając zarazem żal, iż o zajściu poinformowano premiera, I sekratarza KC oraz Ministra Transportu. Wyjaśnił, że „Solidarność” nie ma nic wspólnego z tą akcją, a sprawę obecności PZPR oraz innych organizacji w zakładzie rozstrzygnie ustawa o partiach politycznych. Wiele mówimy o prawie, dla tłumu jednak liczy się tylko siła. Uważam, że nasza sytuacja musi być szybko unormowana. Komitety Zakładowe nie mogą stać się kartą przetargową w rozgrywkach politycznych. Nadal będziemy rozmawiać z uczestnikami zajścia.

Antoni Więcek z Gorlic nakreślił sytuację partii w zakładach pracy: — Widać stagnację wywołaną sytuacją w kraju i nastrojami wynikającymi z przegranych wyborów. Robotnicy pytają — co z partią? Są tacy, którzy twierdzą, że już jej nie ma. Nie wiem, jak jest w ZNTK, lecz sądzę, że w wielu przedsiębiorstwach aktyw niewiele robi. Gdy tylko tablice informacyjne świadczą o istnieniu organizacji, nic dziwnego, że ludzie je usuwają. Członkowie partii są zdezorientowani, osamotnieni, nikt ich nie przygotował do obrony własnych racji. Niekiedy ich położenie staje się beznadziejne, nie dziwmy się więc, że w skrajnych wypadkach nie potrafią sobie poradzić z przeciwnościami. Zbieramy efekty: braku autentycznej więzi z ludźmi, niedobrych podziałów na „górę” i „dołу”, tolerowania ludzi o dwóch twarzach oraz godzenia się z istnieniem w organizacji tzw. martwych dusz. Czas z tym skończyć, wyciągnąć wnioski i rozliczyć błędy, miast poddawać się wciąż samobiczowaniu. Partia musi się zmienić nie tylko z nazwy. Potrzebny jest krótki, czytelny program, który określi: co, gdzie i jak chcemy zrobić.

— Jaka powinna być partia? — zastanawiała się **Józefa Parol** z Łużnej. — Z pewnością inna niż była. Żywa politycznie, o programie wyrastającym z współczesnych realiów i potrzeb. Trzeba odciąć się od przeszłości. Ludzie nie chcą należeć do partii, w której działali m. in. Bierut i Światło.

Wątek oczyszczenia partii ze stalinowskich naleciałości i nieodpowiednich ludzi powracał w wielu wypowiedziach.

Leszek Korzeniowski stwierdził, iż nie ma dziś jednej partii. Od dawna istnieją dwie partie: — Jedna to kierownictwo i aparat, które powinny wyciągnąć wnioski z klęski wyborczej — i do tej partii ludzie nie chcą należeć. Druga to baza partyjna, z której wolą najczęściej się nie liczono. Baza identyfikuje się z PZPR głównie poprzez statut, a nie działania „góry”.

Nie możemy rozmawiać o partii zaczynając od programu. Napierw wyjaśnijmy sobie pojęcia podstawowe — socjalizm, lewica, partia polityczna, abyśmy wiedzieli, za czym mamy się opowiedzieć. Pomyślmy o młodych, stwórzmy warunki do politycznych dyskusji z udziałem młodych lewicujących Polaków. Może z czasem uda się doprowadzić do kongresu lewicy. Już dziś musimy myśleć o przyszłych wyborach do Sejmu, wcześniej — o kampanii do rad narodowych.

Władysław Michalus z Gorlic: — Należę do pokolenia, które przeżywało proces zjednoczenia sił lewicy. Mieliśmy budować socjalizm — ustrój humanitarny, demokratyczny i sprawiedliwy. Stało się inaczej, nastąpiła stalinizacja. Socjalizmu nawet nie posmakowaliśmy w Polsce, były za to wynaturzenia. Bądźmy jednak ostrożni w krytyce naszych błędów, przestańmy pokutować za swoje i nie swoje winy. Nie byliśmy dotychczas ani partią robotniczą, ani zjednoczoną. Czas to zmienić.

Teraz jesteśmy partią rozbrojoną, w rozsypce ideowej i organizacyjnej. Powinniśmy zaproponować taki program, który wyrażałby troskę o naród, o robotników i neutralizował obawy ludzi, którzy ze strachem patrzą na rozwój opartej na wyzysku „przedsiębiorczości”. Obecna rzeczywistość sprzyja bogaceniu się grupy spekulantów. Czy nową formą naszej gospodarki ma być tylko prywatyzacja i obcy kapitał? Wzory powinny się kształtować w państwowych zakładach. Odrzucić trzeba wszystko, co hamowało postęp i kompromitowało system, pozyskać ludzi potrafiących samodzielnie myśleć i działać. Pamiętać musimy także o tym, by nie odcinać swoich korzeni. Kto je niszczy, ten nie przetrwa.

Ryszard Aleksander mówił o sprawach gospodarki. Przez lata aparat partyjny nie potrafił wykorzystać koncepcji, które mogły uzdrowić gospodarkę. Wiele propozycji nigdy nie ujrzało światła dziennego. Podał przykład: — Po roku osiemdziesiątym byłem orędownikiem likwidacji Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Turystycznej, firmy zatrudniającej blisko 50 osób i kosztującej nas więcej w ciągu roku, niż wybudowanie hotelu „Panorama” w Nowym Sączu. Ile hoteli mogłoby powstać w regionie, gdyby podobne instytucje przestały istnieć dużo wcześniej? Dziś z powodzeniem zadania WPGT pełni w Wydziale Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki jedna osoba zatrudniona na pół etatu.

Niepokoją przesadne preferencje dla obecego kapitału. Opodatkowanie naszych przedsiębiorstw sięga 50 procent, zagranicznych — 15 procent. Czy nie powinno być odwrotnie? Społeczeństwo oczekuje radykalnych zmian, lecz nie takich, które z rodzimych firm tworzą przedsiębiorstwa drugiej kategorii. Najpierw dajmy szanse swoim, potem obcym. Zacząć trzeba od zmiany przepisów i praw. Widzę tu pole do popisu dla partii, jej posłów. Musimy stanąć po stronie ludzi pracy.

Wiem, że nie unikniemy podziału na partię ludzi walczących o lepszy byt społeczeństwa oraz partię „zatwardziałych”, którzy każdą zmianę traktują jako zamach na socjalizm. Dążyć musimy do przełamywania rozbieżności wewnętrznych, wspierać poczynania rządu, także Kościoła, i hamować działania, które mogłyby nas doprowadzić do kolejnego zakrętu.

Witosława Giedrojć z Rabki zaproponowała utworzenie w miejsce PZPR nowej organizacji, z nowymi ludźmi i programem: — Wiem, że rozwiązanie partii to groźba rozbicia sił i podzielenia ich na kilka małych, a więc — bez większego znaczenia organizacji. Trzeba jednak przyjąć wyjście najlepsze dla naszej sprawy. Odrzućmy podziały klasowe, niech będzie to partia narodowa. Potrzeba jej młodych ludzi, pomysłów i nowoczesności.

Jan Gabor z Nowego Targu inaczej patrzy na kwestię klasowości: — Partia to grupa ludzi, których jednoczy wspólny interes. Nie można zatem mówić o partii bezklasowej. Już teraz kształtują się w kraju klasy wyzyskiwaczy i pracowników, czyli siły roboczej. Nie możemy reprezentować interesów wszystkich — i robotnika, i właściciela przedsiębiorstwa.

Mówimy — lewica. A cóż to takiego? — *Ja reprezentuję lewicę* — mówi pan profesor Lipski — *i z wami nie chcę rozmawiać*. Czy lewica to także socjalista-katolik, który w telewizyjnym „Otwartym Studio” pluł na PZPR i radził Polakom zdobywać Kosmos? Czy do lewicy zaliczyć przedstawicieli rozmaitych ugrupowań, a każde z innym fantastycznym pomysłem, jak tworzyć Polskę jutra? Jeżeli mamy się odciąć od źródeł marksizmu, to skazujemy się na niebyt. Zapomnieliśmy, że marksizm prawdziwy to humanizm, troska o człowieka. Nieszczęściem naszego ruchu było to, że przyjmując stalinowski model rozeszliśmy się z klasą robotniczą. Właśnie ona jest naszą bazą. Robotnik to nie tylko człowiek stojący przy maszynie, to także inteligent sprzedający swoją pracę. Wielu ludzi nie uświadamia sobie jeszcze, iż w nowych warunkach, przy szerokiej prywatyzacji zaznaczą się podziały klasowe. Interes pracownika jest zawsze inny niż interes właściciela. Dlatego będziemy potrzebni.

O pracy podstawowych organizacji partyjnych mówił **Stanisław Hebda**. Od szeregowych członków partii będzie wiele zależeć, dlatego też POP muszą odnaleźć się w swoich środowiskach, zająć się konkretnymi problemami ludzi, przejść na ofensywny styl działania: — Mamy wielki potencjał intelektualny. Skupmy go wokół instancji podstawowych, przejdźmy na otwarte formy pracy. Twórzmy kluby myśli politycznej i kluby młodych marksistów. Taki klub istnieje już w Nowym Sączu, następne powstają w Zakopanem i Limanowej.

Rolę Wojewódzkiej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej w przyszłej strukturze partii przedstawił **Grzegorz Jawor**. O konieczności określenia tożsamości partii i opracowania nowego jej modelu mówił **Kazimierz Trojanowicz** z Gorlic:

— Zabrakło konsultacji kierownictwa z bazą partyjną podczas przygotowywania wyborów do Sejmu i Senatu, obrad Okrągłego Stołu i tworzenia rządu, w szukaniu koncepcji ratowania gospodarki. Społeczeństwo pokazało, ile w jego oczach jesteśmy warci. Teraz zastanówmy się, w jakim kierunku iść, jakich wartości bronić i o co walczyć.

Naszą sprawą jest dobro państwa i społeczeństwa. Musimy określić tożsamość partii, stworzyć nowy model i przygotować Zjazd. Trzeba utrzymać lewicowy charakter partii.

Mamy skłonność do egzotycznych sojuszy, pamiętajmy jednak, że państwo było silne dzięki dobrym kontaktom z sąsiadami, zwłaszcza z ZSRR. Nie obędziemy się bez nich realizując ideę europejskiego wspólnego domu.

Na zakończenie zabrał głos członek KC **Józef Brożek**: — Nowa partia musi być inaczej zorganizowana. Dotychczas mieliśmy — od góry do dołu — wiele organów uchwałodawczych. Nie miał jednak kto realizować polityki partyjnej, stąd tak niewiele zrobiono. Trzeba zbudować organy wykonawcze, inaczej nadal będziemy posuwać się na jałowym biegu. Weźmy przykład z opozycji, która nie mając możliwości praktycznego sprawowania władzy konstruowała gabinet cieni, szkoliła kadry. Dziś jesteśmy w podobnej sytuacji. Twórzmy zaplecze intelektualne dla naszego Klubu Poselskiego i dla przyszłego samorządu terytorialnego. Programów uchwalono już wiele i nie łudźmy się, by nawet najlepszy mógł poderwać społeczeństwo. Trzeba raczej budować nowe mechanizmy, pozyskiwać ludzi, zastanawiać się, co mają robić członkowie partii.

Wyraźnie musimy określić swój stosunek do prawa własności. Wyprzedaż majątku narodowego i poprawianie w ten sposób poziomu życia niewiele się różni od rozwiązań gierkowskich — zaciągania długów. Jedno i drugie ma granice, jest skuteczne na krótką metę. Nie można jednak uciekać od prywatyzacji polegającej na uwłaszczaniu załóg, przechodzeniu od własności państwowej do społecznej. Ten proces winniśmy wspierać.

Trzeba kreować własnych liderów. Kreowanie ich dopiero w czasie wyborów to działania spóźnione, o czym mogliśmy się przekonać.

Wiele uwag pada pod adresem przeszłości. Oceńmy ją sprawiedliwie. Przez 45 lat mieliśmy spokojne granice, omijaliśmy o własnych siłach niebezpieczne zakręty, nigdy nie dopuszczając do sytuacji jaką poznały Węgry i Czechosłowacja. Lepiej lub gorzej kierowano krajem, lecz zawsze na tyle samodzielnie, na ile tylko pozwalały zewnętrzne warunki. To wielki dorobek partii robotniczej.

Tworząc nową partię nie kierujmy się emocjami. Niech będzie inna, lecz oparta na realnych podstawach.

★

Podczas Plenum przedstawiono wyniki sondażu przeprowadzonego wśród członków partii. Za zmianą regulaminu wyborczego opowiedziało się 86 procent ankietowanych, 87 procent było za przyznaniem kandydatom czynnego i biernego prawa wyborczego, 90 procent głosowało za swobodą dyskusji, 78 procent — za przekształceniem się PZPR w nową partię z nowym statutem, programem i nazwą.

Zatwierdzono zmiany strukturalne w Komitecie Wojewódzkim i organizacjach terenowych, zaproponowane przez I sekretarza. Zatrudnienie w aparacie zmniejsza się o 30 procent; w KW pozostają tylko trzy wydziały merytoryczne i trzy komisje. W instancjach terenowych i zakładowych, gdzie ilość członków nie przekracza stu osób, będą pracować społeczni sekretarze.

W uchwale stwierdzono: *najważniejsze jest umacnianie jedności — powinna temu służyć kampania przedzjazdowa. KW wypowiada się za przyśpieszeniem obrad XI Zjazdu, nowym programem, zmianą regulaminu wyboru delegatów, tak by członkowie partii mieli bezpośredni wpływ na ów wybór. Korzystne byłoby rozpoczęcie obrad zjazdowych po przyjęciu przez Sejm ustawy o partiach politycznych.*

Plenum zajęło także stanowisko wobec próby wyprowadzenia Komitetu Zakładowego PZPR z Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego, wyrażając stanowczy protest przeciwko atakom, które godzą w zasady pluralizmu społecznego, dzielą załogi i dezorganizują produkcję, odwracając uwagę pracowników od problemów najważniejszych, związanych z wyprowadzaniem kraju z kryzysu. *Naszym zdaniem wolność, demokracja, pluralizm nie mogą się wyrażać w rugowaniu z zakładów pracy i z życia społecznego sił stojących na gruncie poszanowania zasad konstytucyjnych, a reprezentowanych w Sejmie i rządzie premiera Tadeusza Mazowieckiego. Komitet Wojewódzki domaga się położenia kresu tego typu bezprawnym działaniom, godzącym w przyszłość demokracji w Polsce.*

LUCYNA KASZUBA

Goralenvolk

CIĄG DALSZY ZE STR. 6)

historię i rodowód „Goralenvolku” oraz działalność w okresie okupacji, co potwierdziło przed majestatem sądu 160 świadków, wśród których nie zabrakło znamienitych, powszechnie szanowanych obywateli. Zeznawali m.in. dyrektor Muzeum Tatrzańskiego — Juliusz Zborowski, przedwojenny prezes Związku Górali — Henryk Walczak, literat Włodzimierz Wnuk, dr Julian Zychoń, nauczyciel gimnazjum — Julian Oleksik, adwokat — dr Józef Diehl i wielu, wielu innych. Główny proces rozpoczął się 4 listopada 1946 w Zakopanem (a więc mniej więcej w siódmą rocznicę niesławnego hołdu wawelskiego) i trwał do 22 listopada. Na ławie oskarżonych zasiedli: Józef Cukier z Zakopanego, Tomasz Kościelniak i Stanisław Mul z Rabki, Antoni Kącek i Antoni Tomala ze Szczawnicy. Na kilka dni przed ogłoszeniem wyroku „Gazeta Podhalańska” oczekiwała surowego ukarania zdrajców i rehabilitacji szerokich rzesz ludu podhalańskiego. Młoda władza ludowa okazała jednak wielkoduszność — oskarżeni uniknęli stryczka. Józef Cukier otrzymał 15 lat więzienia, Stanisław Mul i Antoni Kącek po lat 5, Antoni Tomala — 3 lata. Tomasza Kościelniaka uniewinniono. Ówczesna prasa przyjęła wyroki z mieszanymi uczuciami — zdania były podzielone, lecz na ogół wyczuwało się niezadowolenie ze zbyt łagodnych wyroków. Wyjazdowa sesja Specjalnego Sądu Karnego z Krakowa, podczas której odbywał się proces, miała charakter rozprawy generalnej w sprawie góralskiej. Podkreślono z całym naciskiem, że ogół ludności góralskiej zachował się podczas okupacji właściwie, toteż trudno osądzać większość na podstawie poczynań niewielkiej grupy renegatów. W końcowym przemówieniu prokurator zaznaczył z naciskiem: — *Podhale zdało egzamin z polskości. Podhale było, jest i będzie zawsze polskie.*

ANNA HAŃDEREK-GWIAZDONIK (4)

WOJENNA TUŁACZKA

Pobyt w Ferganie nie trwał długo, chyba parę tygodni. Do miasta zjechało dużo Polaków, a w pobliżu organizowała się V Dywizja Piechoty, więc NKWD postanowiło zrobić porządek. Podstawiono znowu pociągi, tym razem osobowe, naszych mężczyzn zwolniono z pracy. Znów ruszyliśmy w nieznane. Jak się okazało — do Turkiestanu. Tutaj przyjeżdżali przewodniczący kołchozów i brali po grupce osób. My wylądowaliśmy w kołchozie imienia Mołotowa, 30 km od Turkiestanu. Usadowiono nas w klubie, na scenie, potem zgłaszali się kołchoźnicy i kto miał wolną kibitkę — ofiarowywał dach nad głową. My dostaliśmy kibitkę u Uzbeka Kamala. Było tam duże drewniane łóżko i piecyk — tzw. koza. Samotnych zgromadzono we wspólnej noclegowni — *obszczeżytie*. Mieli tam trochę słomy do spania i nic więcej. Niezdarni, nieprzystosowani do pracy w kołchozie i w ogóle do żadnej pracy fizycznej, bytowali w strasznych warunkach.

Nasz kołchoz pełnił jakby funkcję gminy w stosunku do sąsiednich trzech. Był tu posterunek milicji, ośrodek zdrowia, urząd oraz bazar. Ja z Jankiem poszliśmy do roboty, ciąża Władzi była już widoczna, więc Władka została w domu. Pilnowała dzieci i porządku, prała naszą odzież; oczywiście bez mydła, bo kto tam mydło widział. Czystość miała ogromne znaczenie, już szerzył się tyfus. *Bieżeńcy* zaczęli obrastać we wszy w swoich kwaterach.

W miesiącach zimowych, tj. w grudniu 1941 i styczniu 1942, pracowaliśmy z Jankiem przy budowie *bani*, czyli łaźni parowej. Zajęcie było znośne, zwłaszcza że codziennie inny dom dawał robotnikom porcję porządnej zupy i *lepioszkę*, a jeden dzień pracy liczył się jako pełny *trudodień*, wobec czego otrzymywaliśmy cały przydział mąki pszennej — 70 dkg na osobę. To wystarczało.

Ambasada polska w Kujbyszewie otworzyła liczne delegatury w terenie dla lepszej opieki nad Polakami. Delegaci — u nas w Turkiestanie był to P. Świrski z Wilna — powoływali w kołchozach pełnomocników. Janek, jako najstarszy rangą oficer rezerwy, mający wyższe wykształcenie, został takim pełnomocnikiem na cztery okoliczne kołchozy.

W lutym zaczęła się mobilizacja do polskiej armii. Przewodniczący kołchozu dał furmankę i pojechaliśmy do Turkiestanu. Janek otrzymał tam dowództwo nad większą grupą przyszłych żołnierzy. Pożegnaliśmy się z nim i już więcej — jak miało się okazać — nie zobaczyłam Janka.

Wróciłam do kołchozu jako pełniąca obowiązki pełnomocnika delegata z Turkiestanu, na miejsce Janka.

Byłam teraz jedyną w rodzinie osobą pracującą. Do tego dochodziło zajęcie społeczne pełnomocnika. A warunki w kołchozie zmieniły się. „Bania" już stała. Rozpoczęliśmy morderczą robotę przy uprawie bawełny. Na miejsca, gdzie miały przyjść sadzonki, należało nanieść kopkę ziemi. Uzbek kopał ją i nasypywał w woreczki, które na plecach nieśliśmy na pole i tam wysypywaliśmy. I tak przez cały dzień pracy. Jeszcze gorsze było posługiwanie się *kitmenami*, czyli uzbeckimi motykami. Były zazwyczaj bardzo tępe, od tego kopania zrobiły mi się guzy na rękach. Gdy bawełnę zasadzono, należało ją stale okopywać. Norma była wysoka, z nieba lał się żar, a za wykonanie normy — w miarę jak mijały kolejne tygodnie wojny i kolejne klęski na froncie — płacono coraz mniej mąki: 40 dkg jęczmiennej, nadającej się jedynie do gotowania bryi. Stanęło przed nami widmo głodu, sama nie mogłam przecież zarobić na utrzymanie wszystkich, a tu dwoje dzieci, trzecie w drodze...

Tak jakoś dotrwałyśmy do Wielkiejnocy. Przed świętami (był chyba koniec marca lub początek kwietnia) przyszedł list od Janka, że jest w armii, że armia zaczyna wyjeżdżać do Persji i że nas z pewnością uda się zabrać, bo rodziny jadą z wojskiem.

W tym czasie musiałyśmy się przeprowadzić, bo naszym Uzbekom kibitka była potrzebna. Władzia ratowała sytuację materialną, robiąc na drutach skarpety i rękawice, które szły dla Uzbeków na front pod Leningrad.

W kołchozie Władzia urodziła trzecie dziecko — chłopca — którego nazwaliśmy Jankiem. Chyba zanim nastąpiły te urodziny przyszła tragiczna wiadomość: Janek zmarł na zapalenie płuc po tyfusie. Nie powiedziałam o tym Władzi, bałam się o jej stan. Wyryczałam się w polu. Ale najgorsze były momenty, gdy Stasio, syn Janka, modlił się o zdrowie dla tatusia...

Zaczęła już nadchodzić pomoc materialna dla Polaków, kierowana przez naszą ambasadę z Kujbyszewa: mąka, mydło, tłuszcze, koce, buty. Musiałam to rozdzielać między rodaków. Zadanie było trudne, bo ludzie patrzyli na ręce — jak się kroi tłuszcz, kto co dostał. Zdarzały się awantury, raz nawet musiano wezwać milicję, bo sama nie mogłam sobie poradzić.

Coraz bardziej ubywało mi sił. Praca na polach bawełny była mordercza, przerwę obiadową należało przeznaczyć na wycinanie suchej trawy — tzw. dżusanu — aby mieć na czym ugotować potem w domu strawę. Zdecydowaliśmy: wyruszę do Turkiestanu, przedstawię delegatowi nasze położenie. Niech ratuje rodzinę porucznika, który nie żyje i sam jej ratować nie może.

Wybrałam się w drogę z mocnym postanowieniem niewracania do kołchozu, bo to oznaczało dla nas powolną śmierć. Przedstawiłam delegatowi sytuację, pokazałam ręce i poprosiłam o jakąkolwiek pracę w sierocińcu, który uruchomiono w Turkiestanie. Po paru dniach, kiedy to nie odstępowałam Delegatury ani na krok, mianowano mnie wychowawczynią najstarszej grupy dzieci, właściwie już młodzieży. Kiedy zadomowiłam się w nowym miejscu, postanowiłam wziąć do sierocińca Stasia i Isię — dzieci Władzi. Niestety, Isi nie przyjęto ze względu na podejrzenie gruźlicy. Udało się natomiast ściągnąć Władzię do podmiejskiego kołchozu Berlik. W międzyczasie zmarł mały Janeczek, w turkiestańskim szpitalu. Śmierć tę bardzo przeżyłyśmy. W rezultacie tych wydarzeń Władzia została potem w Berliku, a nawet zaangażowano ją do sierocińca jako krawcową. Wróciła do Polski dopiero w 1946 r.

Drugi rzut polskiej armii zaczął opuszczać tereny ZSRR. Wraz z wojskiem przerzucano za granicę pewną ilość ludności cywilnej, a zwłaszcza dzieci. Nie myślałam o wyjeździe nie chcąc opuszczać Władzi i jej dzieci, ale sprawy potoczyły się — nie pierwszy zresztą raz — inaczej niż planowałam.

Naszym władzom udało się uzyskać od NKWD przepustki dla grup ludności cywilnej. Było to dość kosztowne, ale jakoś te sprawy załatwiano. Wyjazdem objęto sierociniec. Tworzono grupy: jedna wychowawczyni na dziesięcioro dzieci. Coraz to jakaś grupa wyjeżdżała. Nie obyło się bez tragedii, bo matki żegnały swe pociechy ze świadomością, iż mogą się już nigdy z nimi nie zobaczyć. Wiedziały jednak, że ratują dzieci przed głodem.

Namawiano mnie do wyjazdu, przekonywano, iż na pewno w sztabie otrzymam bilety dla całej rodziny. Postanowiłam spróbować. Tymczasem jedna z naszych grup została okradziona na stacji z biletów i wróciła jak niepyszna do sierocińca. Trzeba było się starać o następne przepustki. Czekaliśmy już parę dni, gdy któregoś wieczoru wpadł delegat Kawecki i powiedział, iż musimy natychmiast jechać, bo NKWD może się rozmyślić.

(ciąg dalszy nastąpi)

TADEUSZ STUDZIŃSKI (12)

STADNINA GUBERNATORA

Gdy Staś się upewnił, że już w pięty nie dostanie, wyśpiewał nawet więcej, niż chcieliśmy. Jak księdzu na spowiedzi. A więc, że był partyzantem kpt. Lamparta w Ochotnicy, jako Zorza. Długo nie powalczył w AK, bo zachorował i Lampart odesłał go do domu.

W tym momencie czujny Góra odwołał mnie do sieni i uzupełnił zeznanie *Zorzy*.

— *Tak, był zwolniony, jako chory* — powiedział Góra — *i nawet się tym przechwalał, ale nie po to, żeby leżeć u matki, ale żeby rabować z Bronkiem. I to po obu stronach granicy. Były tam strzały, ranni, a nawet trupy. Ale nie można powiedzieć, co skrewili Jaśkularze, a co inni zbytnicy?*

Gdy Lampartowi doniesiono, jak się jego żołnierzyk kuruje, przysłał do Cichego kilku swoich na śledztwo. Zabrali ze sobą Stacha i powiedzieli mu w drodze, że jeśli wina się potwierdzi, to Sąd Wojenny każe go zdjąć ze świata. Stach-Zorza nie stanął przed sądem, ani nie czekał na zaoczny wyrok. Partyzanci przyprowadzili go do Ochotnicy, ale on — choć trochę gapowaty — *spruł* nocą. Podobno nie rozliczył się z broni u Lamparta. Odtąd się ukrywał jako *dezerter*. Przychodzili po niego z Gorców, tropił go też inny oddział... Ale Ochotnica daleko, w Cichem nie mogli go trafić, więc sprawa się rozmydliła.

Po krótkiej znajomości ze Stachem doszedłem do wniosku, że chłopak nie jest zupełnie stracony, ale pod warunkiem, że zmieni powietrze. Ba, czy jest sanatorium dla takich? Gapowaty. Gdzie mu tam do naszego Góry! Jędrek mógłby sobie nawinąć na palec kilku takich Stachów. Widocznie mózgiem tandemu Jaśkularzy był Bronek.

Ex *Zorza* prosił, żebym go przyjął do partyzantki. Puma wykorzystał ofertę i — mrugnąwszy do mnie — powiedział Staszkowi, że musi najpierw zapłacić nam wykupne: trzy sztuki krótkiej broni z arsenału Bronka. Ale z amunicją, nie puste! Kiedy Stach paplał o coraz to nowych kradzieżach, których się dopuszczał sam i nie sam, nasza złość do niego stopniała. Nawet nas rozśmieszył. Aż trudno było uwierzyć, że tak młody szpic maczał łapy w tylu rozbojach! Co tu z nim zrobić? Przecież nie pchnę go kilkadziesiąt kilosów do Ochotnicy, pod konwojem. Zapowiedziałem Stasiowi, że od dziś bierzemy w opiekę wioski na północ od Gubałówki. Jeśli się dowiemy o Jaśkularzach czegoś nieładnego, to rozmowa z braćmi będzie krótka, bo nie mamy czasu, żeby ich przekalibrować na aniołków.

Zostawiłem Pumę z chłopcami u wójta, a z Górą pobiegliśmy w dół obudzić Jasia Piotrowego. Do świtu zostało jeszcze dwie godziny i można było chodzić po wiejskiej ulicy. Należało pogadać z kasiarzem, zanim się z Bronkiem nie *stretnie*. Niedaleko wójta, po zachodniej stronie drogi, w maleńkim domku mieszkał samotnie herszt złodziei, historyczny już, Jaś Maryniarczyk. Ciekaw byłem, jak wygląda ta wioskowa znakomitość.

Po spartańskim obejściu widać było, że właściciel nie trudzi się pracować rękami. Chatka jego stała przy samiutkiej drodze. Ani płotu, ani obórki, ani drewutni, ani kawałka ogródka — nic. Nawet psiej budy nie było. Te wszystkie zdobycze kultury materialnej zostawiał Jaś sąsiedzkim tępakom. Zresztą, jak tu prowadzić gospodarstwo, kiedy większość życia spędzało się po cesarskich i innych więzieniach?

Zapukaliśmy. W tej samej chwili otworzyły się drzwi, jakby Jaś nic innego nie robił, tylko czekał na puknięcie swoich uczniów.

— *Pochwalony... Coś się pan tak wcześnie zebrał, panie Jasiu?* — spytałem. — *Nawet się pan do łóżka nie kładzie?* Przy świetle podkręconej lampki, która już się przedtem paliła, zobaczyłem ponad pięćdziesięcioletniego mężczyznę, w bieliźnie, o bystrym spojrzeniu czarnych oczek. Był drobny na ciele i mizerny. Na głowie sterczały mu resztki czarniawych włosiąt.

— *Wstałem* — mówił Jaś powoli — *bo mi się zdawało, że ktoś strzelił. Wstałem, bo sobie myślę, że chyba złodzieje są we wsi i trzeba pilnować dobytku. Dlatego zapaliłem lampę i przykręciłem, bo mi się knot całkiem wypalił i nie dostaje się do nafty. A kupić teraz knot...*

— *A co tu u was jest do ukradzenia?* — rozejrzałem się po izbie pustej, jak erem kameduły. — *Ja nie swojego pilnuję, bo nic nie mam, ale rodzina blisko mieszka i żal mi ich* — odpowiedział rektor tutejszych opryszków.

— *Przyszedłem właśnie do pana w sprawie wesołych chłopców z Cichego* — powiedziałem. — *To oni bobrują nocami. Chciałem was poznać, panie Jasiu, bo wiem, że pan mi pomoże spotkać się z nimi. Był tu w nocy Bronek?* — spytałem wprost, aby Jaś wiedział, że okłamywać się nie będziemy.

— *Kto, Jaśkularz? Nie, nie widziałem go* — odrzekł powoli Jaś.

Jaś speszył się naszą wizytą. Nie mógł nas jeszcze zaszeregować ani do policji, ani do Niemców, ani do zbójów. Lecz po dalszej rozmowie wiedział już, kto mu złożył tak wczesną wizytę. Spytałem o broń Jaśkularzy. Jaś, jako stateczny człowiek, a więc zupełnie nie zainteresowany w żadnych kradzieżach powiedział, że w różnym czasie widział u braci Szymusiaków następującą broń:

1. karabin austriacki długi,
2. karabin mauzer niemiecki, krótki,
3. nagan rosyjski z bębnem otwieranym na bok,
4. krótki pistolet, kaliber siedem,
5. krótki pistolet czeski, kaliber osiem, ale często daje niewypały. Jest do niego dużo amunicji od Słowaków,
6. pistolet mauzer niemiecki z kolbą drewnianą, co jest jednocześnie pochwą i pasują do niego naboje ruskiej pepeszki,
7. krótki pistolet, kaliber sześć trzydzieści pięć, co Stach Szymusiak wziął dwa tygodnie temu od Sękały, z dorabianą rączką; ma on tylko dwa naboje.

Rodzaje broni polskiej, rosyjskiej, czeskiej, austriackiej i niemieckiej nie są wymyślone przez autora. Ich spis znajduje się w moich starych notatkach, a wyliczyłem je, jak pacierz, Jaś Piotrowy. Pochodzenie tego arsenału może być przyczynkiem do historii podbojów naszego terytorium.

(cdn.)

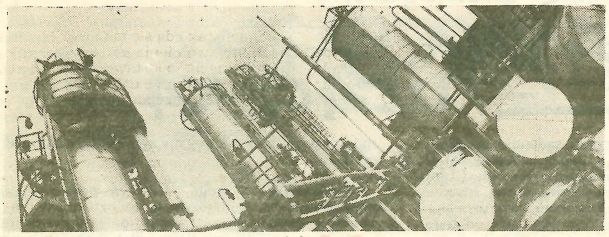

Sprawy Glimaru

Wiele zależy od nas

Bliższe i dalsze zamierzenia naszej zakładowej „Solidarności" przedstawia wiceprzewodniczący, Adolf Hałgas:

— W ciągu kilku pierwszych miesięcy działalności zakładowa „Solidarność" zdołała pozyskać około 300 osób (trzecią część załogi). Najwięcej członków mamy w tych wydziałach, których pracownicy od dawna sygnalizowali nie rozwiązane dotąd problemy: do związku należy np. około 85 proc. zakładowych strażaków i około 70 proc. załogi wydziału remontowo-budowlanego.

Naszym celem jest dobro przedsiębiorstwa i jego pracowników. Zdajemy sobie sprawę, że losy zakładu zależeć będą przede wszystkim od sytuacji ekonomicznej kraju, od środków, jakie zdołamy wypracować. Tym niemniej wiemy, jak wiele zależy od nas, ile trzeba w „Glimarze" zmienić. Powinniśmy na przykład wybudować własną, dużą kotłownię, by uniezależnić się od kapryśnej, gorlickiej elektrociepłowni. Konieczne są gruntowne remonty, a nawet przebudowa większości wydziałów produkcyjnych. Nie jest tajemnicą, że naczelny dyrektor Rafinerii (którego — notabene — nie można obwiniać o doprowadzenie do technicznego zastoju przedsiębiorstwa; złożyło się na to wiele przyczyn) odchodzi na emeryturę. Chcielibyśmy, aby nowy dyrektor został wybrany w drodze konkursu.

Postanowiliśmy powtórnie przeprowadzić wybory do Rady Pracowniczej, gdyż uważamy, że podczas ostatnich wyborów w dwóch wydziałach nie stworzono warunków do demokratycznego głosowania. Jak mówi odnośna ustawa, jeśli votum nieufności wobec rady pracowniczej zgłosi co najmniej piąta część załogi danego zakładu, należy jeszcze raz przeprowadzić obiór. Działalność dotychczasowej Rady ocenia nasz związek jako niekorzystną dla załogi, związaną z nomenklaturą.

Chcąc uzdrowić gospodarkę — również wewnątrzzakładową — musimy stworzyć taki system motywacyjny, by wszystkim „opłacało się" wkładać w wykonywaną pracę maksymalny wysiłek. Ażeby postawić przedsiębiorstwo mocno na nogi, nie można cofać się nawet przed tak drastycznymi środkami, jak zmniejszanie zatrudnienia. Ci, z których zakład ma niewielki pożytek — będą musieli odejść. Dotyczy to również członków „Solidarności".

Szukamy współpracy ze wszystkimi, działającymi w przedsiębiorstwie organizacjami; każdą, nawet najbardziej drażliwą kwestię można omówić — spokojnie, gdy ma się do siebie zaufanie. Jeśliby jednak próbowano wpuścić nas w maliny — o współpracy nie będzie mowy.

Zadeklarowaliśmy, że przez pół roku nie będziemy korzystać z prawa do strajku, jeśliby płace były niezadowalające. Zresztą — w obecnym dziesięcioleciu nie było w „Glimarze" strajków, gdyż robotnicy wiedzą, że nasz zakład nawet na krótko nie może wstrzymać produkcji, bo spowodowałoby to olbrzymie straty i zagrożenie. Teraz natomiast chcemy solidną pracą dać poparcie koalicyjnemu rządowi premiera Mazowieckiego.

Akcja „mały, biały domek"

— Rafineria kupiła dotychczas dwadzieścia akcji „Drewbud-Banku", są jednak szanse na trzydzieści dalszych. Tak więc wszyscy chętni — a dotąd zapisało się 49 osób — mogą stać się członkami zawiązywanej spółdzielni mieszkaniowej — mówi jeden z inicjatorów jej powstania, kierownik działu inwestycji **Michał Kozłowski.**

— Na niedawnym zebraniu zainteresowanych budową mówiliśmy o wszystkich, znanych dotąd, szczegółach sprawy. Przede wszystkim uprzedziliśmy, że wkład „Glimaru" w finansową i techniczną pomoc (przy pracach budowlanych) nie może być duży. Nie ma prawa, które zmuszałoby zakład do szerokiej pomocy. Członkowie spółdzielni domków jednorodzinnych mogą oczekiwać wsparcia przy wykupie działek i wypożyczaniu sprzętu budowlanego. Na pewno też Rafineria przeznaczy część funduszu mieszkaniowego na nisko oprocentowane pożyczki, nie przekraczające dziesiątej części kosztów domku, wykona również fachowe prace przy uzbrajaniu terenu.

Zaproponowana przez „Drewbud-Bank" technologia na pewno jest szybka, ale nie jest tania. W chwili kupowania działki i wykonywania fundamentów trzeba będzie wyłożyć od ręki kilka milionów złotych, a w momencie otrzymania domku — osiemnaście milionów złotych (według dzisiejszych cen). Liczymy, że uda nam się do tego czasu uzyskać potrzebne kredyty, zdajemy sobie jednak sprawę, iż będzie to wymagało opracowania przez banki nowych zasad przyznawania pożyczek. Obowiązujące przepisy wymagają, by kredytodawca miał co najmniej 10-20 proc. tzw. udziału własnego w materiałach budowlanych, podczas gdy w naszym przypadku to „Drewbud" będzie kupował odpowiednie materiały i odsprzedawał je klientom w postaci gotowych wyrobów. Mamy jednak nadzieję, że po zapowiedzi premiera Mazowieckiego o popieraniu budownictwa jednorodzinnego, dotychczasowe formalne przeszkody szybko zostaną usunięte.

Zrobiliśmy już wiele. Wystąpiliśmy do Urzędu Miasta o przydzielenie terenu pod zabudowę, prawdopodobnie otrzymamy działki na nowo wznoszonym osiedlu Krakowska-4. Nawiązaliśmy współpracę z „Drewbud-Bankiem", pomagając w zaopatrzeniu w niektóre, trudno dostępne materiały. Ustaliliśmy, że nasze domki — szeregówki będą się składać z 5-8 segmentów. W rozmowach z producentem dowiedzieliśmy się, iż montaż pojedynczego budynku trwa do sześciu tygodni, a w przypadku budownictwa szeregowego — parę miesięcy. Najprawdopodobniej odpadnie problem „zdobywania" materiałów na wszelkie instalacje, gdyż można je otrzymać za dopłatą.

W planach naszego przedsięwzięcia powinniśmy brać pod uwagę i to, że aby budowa mogła postępować szybko i sprawnie, musimy sobie nawzajem pomagać. To jeden z najważniejszych warunków powodzenia.

Kto ma rację?

Sprawa jest drażliwa: pracownicy wydziału remontowo-budowlanego żądają ustąpienia swoich bezpośrednich przełożonych — majstrów. Zacietrzewienie załogi jest duże, zarzuty, jakie wysuwają robotnicy — dość poważne. Szkoda, że nie udało się poprosić o wyjaśnienia samych majstrów — byli na urlopach, zatem o wypowiedź poprosiłem jednego z pracowników wydziału, kierownika oraz dyrektora przedsiębiorstwa.

— **Mieczysław Wal:** — Co to za mistrzowie, którzy nie organizują roboty tak jak trzeba? Zresztą nie tylko o to mamy do nich pretensję, nie zawsze byli sprawiedliwi wobec ludzi.

Domagamy się zmiany mistrzów nie tylko, żeby pokazać naszą siłę, chcemy tylko jasnej sytuacji i lepszego traktowania. Proponujemy, by — skoro nie można inaczej — pozostawić na razie jednego z majstrów.

Edward Kaczmarczyk: — Czy tego robotnicy chcą, czy nie, jeden pracownik nie podoła obowiązkom, absorbującym dotychczas dwóch ludzi. Choć większość załogi wydziału (36 osób na 40) opowiedziało się za jednym etatem majstra, jestem za tym, by — jeśli się potwierdzą zarzuty — zastosować wobec winnych jedną z regulaminowych, pośrednich kar, a nie wyrzucać od razu z pracy.

Bronisław Niemaszyk: — Pracownicy zarzucają jednemu z majstrów niekompetencję, ale przecież jest on autorem wielu wniosków racjonalizatorskich, a więc twórczym technikiem. W tej sprawie zdam się na orzeczenie specjalnej komisji oraz opinię kierownika wydziału. Nie można poddawać się emocjom.

Ekologiczne to i owo

Już paręset ton neutralizatu, wytwarzanego z odpadów porafinacyjnych, zużyła kaletańska papiernia. Właściwości opałowe neutralizatu są tak dobre, że Rafineria ma nadzieję uzyskać za przetworzone, wydobywane z dołów kwasowych węglowodory stosunkowo wysoką cenę.

Te zachęcające wyniki prób zadecydowały, że myśli się poważnie o zagospodarowaniu kwaśnych odpadów. Zlecono więc krakowskiej spółce projektowej opracowanie wstępnych założeń instalacji służącej do utylizacji kwasów porafinacyjnych. Projekt został wykonany, czas przystąpić do budowy urządzenia.

★

Projektant oczyszczalni ścieków najprawdopodobniej nie przewidział wszystkich niekorzystnych oddziaływań, na jakie będą narażone konstrukcje filtrów zainstalowanych w „Glimarze". Przez kilka pierwszych dni po rozruchu instalacja funkcjonowała znakomicie, opuszczająca ją woda była czystsza niż przewidywano. Szybko jednak okazało się, że na dna filtrów działają olbrzymie siły, niszczące niektóre elementy konstrukcji. Zmusiło to projektanta do wprowadzenia poprawek w dokumentacji, które wykonywane są teraz „w metalu".

Równolegle trwają prace przy drugim etapie rozbudowy oczyszczalni — zamkniętym obiegu wody. Jest szansa, że uda się niezbędne reduktory zakupić w kraju, oszczędzając w ten sposób ponad 14 tysięcy dolarów, potrzebnych na sprowadzenie tych urządzeń z Jugosławii.

★

Tak dokuczające gorliczanom gazy pooksydacyjne miały być utylizowane w spalaczu. Ponieważ stało się to niemożliwe, zaczęto szukać innych sposobów ich zneutralizowania. Ekipa inżynierów „Glimaru" była w Rafinerii Gdańskiej, by zobaczyć, jak jest skonstruowana i jak działa tamtejsza instalacja utylizująca gazy. Urządzenie okazało się nieskomplikowane, najprawdopodobniej uda się podobne wykonać w „Glimarze".

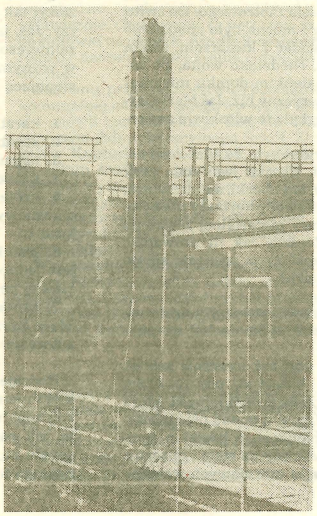

Fot. ANDRZEJ BARA

Kolumnę „Sprawy Glimaru" redaguje JANUSZ WÓJCIK

Kolekcjoner

— W „Glimarze" jestem już czwarty rok — mówi stolarz **Jacek Ogłuszko** — wcześniej zarobkowałem w niewiadomskim „Predomie-Prespolu" i kopalni węgla. Przyjeżdżając do Gorlic mogłem podjąć pracę w „Gliniku" czy „Foreście" ale wybrałem Rafinerię — i słusznie, bo nie ma tu roboty seryjnej, monotonnej, trzeba znać się na wszystkim po trochu. Nie tkwimy wciąż w warsztacie: dziś praca przy remoncie, jutro przy rusztowaniach, pojutrze znów w zakładowych blokach. I jeszcze jedno: satysfakcję daje również to, że widać efekty naszego wysiłku.

Od dawna jestem „zbieraczem". Przez wiele lat kolekcjonowałem znaczki pocztowe, ale po pewnym czasie zaczęło mnie to nudzić, poza tym nie mogłem zbiorom poświęcać tyle czasu, ile należałoby. Znaczki są kapryśne i — wbrew pozorom — wymagają ciągłej pielęgnacji. Za to monety i banknoty są mniej wymagające, należy je tylko odpowiednio odczyścić, złożyć, a co jakiś czas jedynie przejrzeć, nacieszyć oczy.

Najcenniejsza moneta w moich zbiorach to „Fryderyk Christian" — srebrna dwudziestograjcarówka z 1768 roku. Uważam, że to większa rzadkość niż pieniądze bite przez Batorego czy Zygmunta III, bo przecież Fryderyk panował tylko sześć lat. Pasjonują mnie monety włoskie z lat 1900 — 1939. Nie są one stare, mają za to inną, wyróżniającą je spośród wielu cechę. Otóż ich rewersy opracowywał zapewne prawdziwy artysta. Są po prostu śliczne.

Kolekcję uzupełniam w różny sposób, co pewien czas jeżdżę na giełdę do Tarnowa, Rzeszowa, czasem do Zakopanego czy Krakowa. Na targach można nieraz kupić ciekawe okazy, trzeba jednak umieć odróżnić rzeczy wartościowe od „sieczki". Po pierwszym szale, gdy zbiera się byle więcej — przychodzi uspokojenie. Okres „ilościowego" oczarowania numizmatyką mam już za sobą, a zebrane wówczas pospolitsze monety nieraz się przydają, gdy wymieniam je na cenniejsze. Mimo że jestem numizmatykiem, nie mam ciągot do ciułania pieniędzy.

Marzenia? Po pierwsze: chciałbym uzupełnić kolekcję monet PRL (mała „kolumna Zygmunta"!). Po drugie: zamierzam założyć własny warsztat stolarski.

Tak było...

W ciągu pierwszych czterdziestu lat gorlicka Rafineria była własnością obcego kapitału, często przechodząc z rąk do rąk. Od roku 1890 zakład wchodził w skład spółki „Galicyjskie Karpackie Naftowe Towarzystwo Akcyjne" z centralą w Wiedniu, której szefem był Wiliam Mc Garvey, po jego śmierci zaś syn — doktor

Po pierwszej wojnie światowej akcje Towarzystwa wykupił kapitał francuski, który w 1919 roku utworzył lwowski Koncern Naftowy „Dąbrowa", przekształcając się w dziewięć lat później w duży koncern „Małopolska" — Grupa Francuskich Towarzystw Naftowych i Przemysłowych w Polsce. „Małopolska" przed drugą wojną światową była własnością przemysłowców francuskich i belgijskich.

Pierwszym dyrektorem Rafinerii został współwłaściciel Spółki, a następnie Towarzystwa Akcyjnego — Wiliam Mc Garvey zaś pierwszym kierownikiem technicznym — brat założyciela spółki, James. W latach 1914 — 1919 Rafinerią kierował Austriak dr David Lichtenstein, następnie prof. dr Stanisław Pilat, dr Jerzy Kozicki, inż. Stanisław Nitsch, a od roku 1927 do wybuchu wojny — inż. Henryk Marczak.

Z początkiem XX wieku ówczesny kierownik techniczny zakładu, Austriak Hirsch, obsadził stanowiska urzędnicze i majsterskie Niemcami i Czechami, zwerbowanymi z czeskiej rafinerii „Nanto". Językiem urzędowym stał się język niemiecki.

Głos Glinika

Apel Dyrektora

Premia dla wytrwałych

Dyrektor naczelny „Glinika", **Czesław Chmura**, apeluje:

— Wartość produkcji, sprzedaży i zysku przedsiębiorstwa wypracowuje się tylko wydajną i rzetelną codzienną pracą. Pomimo wprowadzonych w tym roku znacznych podwyżek płac obserwujemy, że **plan produkcji i sprzedaży nie jest realizowany w pożądanym stopniu. Dramatycznie z tygodnia na tydzień pogarsza się rytmika produkcji i sprzedaży.** Mamy spore zaległości w obudowach (1730 sekcji), stojakach (12 200 sztuk), odkuwkach (1800 ton), częściach zamiennych (2500 ton).

Jedną z podstawowych przyczyn takiego stanu rzeczy jest — oprócz kłopotów z zaopatrzeniowych — niski poziom dyscypliny pracy, a szczególnie wysoka w bieżącym roku absencja chorobowa. W ubiegłym roku nie było codziennie w pracy z powodu choroby 448 pracowników, w tym roku — 627! Jeśli taka sytuacja utrzyma się do końca roku, nasi odbiorcy nie otrzymają zamówionych wyrobów, a fabryka — pieniędzy na uregulowanie naszych zobowiązań i na płace pracowników.

W takiej sytuacji kierownictwo fabryki zmuszone jest podjąć działania dyscyplinujące realizację zadań produkcyjnych. Z mocą od 1 września br. **wprowadzamy comiesięczną premię motywacyjną dla tych, którzy przepracują nienagannie wszystkie dni robocze w danym miesiącu.** Wysokość premii jest zróżnicowana dla poszczególnych komórek fabryki **od 35 do 45 tys. zł miesięcznie na pracownika.** Szczegóły zawiera regulamin uzgodniony ze związkami zawodowymi.

Do końca roku z tytułu premii motywacyjnej wypłacimy około 900 mln zł. Żeby uchronić fabrykę przed podatkiem sankcyjnym od płac trzeba wypracować zysk w wysokości 22 mld zł. Za osiem miesięcy osiągnęliśmy 12,5 mld zł. Przy pełnej mobilizacji i wysokim zdyscyplinowaniu załogi możliwe jest wypracowanie pożądanego zysku.

Premia motywacyjna będzie funkcjonować do końca bieżącego roku, zaś od przyszłego włączy się ją do płacy podstawowej.

Zobowiązuję kadrę kierowniczą i pracowników nadzoru do wzmożonego działania w celu zabezpieczenia prawidłowej organizacji produkcji i efektywnego wykorzystania czasu pracy.

Teleks z Warszawy

Przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników „Glinika", **Tadeusz Kosturski**, informuje:

— Otrzymaliśmy teleks od Alfreda Miodowicza — szefa Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, następujące treści: Pod koniec września w Urzędzie Rady Ministrów doszło do spotkania członków rządu (z premierem Tadeuszem Mazowieckim na czele) z kierownictwem OPZZ. Głównym tematem rozmowy był projekt zmian ustawy o indeksacji. Rząd chce dokonać szybkiej nowelizacji tej ustawy, aby w trzecim i czwartym kwartale br. obowiązywały już nowe zasady. Zmiany oznaczają istotne odejście od tych zasad indeksacyjnych, które „Solidarność" z taką zażartością broniła — wbrew stanowisku OPZZ — przy „okrągłym stole". Strona rządowa przyznała, że tamta decyzja była nietrafna. Nasze stanowisko co do nowych propozycji rządu wypracujemy podczas posiedzenia Komitetu Wykonawczego OPZZ.

Zwróciliśmy się do premiera z kilkoma pytaniami. Oto one:

1. Jak w polskich warunkach ma wyglądać zapowiadane w exposé premiera bezrobocie? Zdaniem związków zawodowych jest ono nie do przyjęcia.
2. Co z funduszami socjalnym i mieszkaniowym, dlaczego zwleka się z dokonaniem zmian w ustawie?
3. Jak zamierza się chronić realną wartość rent i emerytur?
4. Czy inne świadczenia (np. dodatki rodzinne) będą systematycznie rewaloryzowane?

Zwróciliśmy także uwagę na dramatyczną sytuację Funduszu Wczasów Pracowniczych wobec olbrzymiego wzrostu kosztów. Wnioskowaliśmy o dofinansowanie przez rząd tego Funduszu (o 5,5 mld zł). Ponadto stwierdziliśmy, że konieczne jest przyspieszenie prac nad nowym modelem Telewizji i Polskiego Radia. Jako OPZZ domagamy się stałych pozycji w tych mediach.

Terror palaczy

— Życie utrudniają nam galopujące ceny, braki wielu towarów w sklepach, spóźniające się autobusy i... palacze — twierdzi **Ewa Polarczyk**, pracownica magazynu. — Dużo się mówi, lecz — moim zdaniem — wciąż za mało o szkodliwości palenia papierosów, a przede wszystkim siedzenia w kłębach dymu. Jest to szkodliwe zwłaszcza dla osób niepalących lub chorych. Palacze panoszą się wszędzie; w biurach, na ulicy, niszcząc odzież innym przechodniom (mam wypalone dziury w paru rzeczach), w pociągach, a nawet w placówkach służby zdrowia (palą lekarze i pielęgniarki w gabinetach), pomimo zakazu wydanego przez ministra zdrowia. Nierzadko palacze wchodzą z papierosami do sklepu.

Palacze to straszni egoiści, a większość z nich wydaje się pozbawiona elementarnych zasad kultury. Bo jak inaczej określić następującą sytuację: większość osób obecnych w jakimś pomieszczeniu nie pali i prosi o wychodzenie na papierosa poza to pomieszczenie, wówczas palacze puszczają „dymki" jeszcze bardziej ostentacyjnie, zaś ten, kto ośmielił się poprosić o niepalenie — jest wrogiem. Jeśli zwrócimy uwagę palącemu na korytarzu wagonu dla niepalących — to „poleci" wiązanka ordynarnych wyzwisk, a w najlepszym razie usłyszymy: „przecież to korytarz, a nie przedział!". Lecz smród nie stoi w miejscu na korytarzu, a wciska się wszędzie! Kolej stale winduje ceny biletów, zamiast nakładać tęgie kary na takich niesubordynowanych pasażerów, co przyniosłoby jej niezłe dochody!

Służę przykładem naszego południowego sąsiada — Czechosłowacji. Tam nie istnieją w ogóle wagony dla palących, a zapalenie papierosa nawet na korytarzu kosztuje 50 koron. Sama kiedyś byłam palaczką, ale zawsze umiałam uszanować niepalących i nigdy nie obrażałam się na przeciwników palenia. Ze względów zdrowotnych musiałam rzucić palenie. Teraz dym mi szkodzi: dostaję chrypki, puchnie mi gardło, łzawią i pieką oczy, boli głowa. Jednak nie wszyscy koledzy-palacze chcą mnie zrozumieć.

Uważam, że prasa za mało pisze o szkodliwości i konsekwencjach tego nałogu. A przecież w wielu krajach stosuje się coraz powszechniej zasadę pierwszeństwa zatrudniania osób niepalących, wiadomo bowiem, że one są bardziej wydajne w pracy.

Perspektywy „Glinika"

Żeby firma mogła poprawnie funkcjonować — trzeba określić jej strategię rozwojową na bliższe i dalsze lata. Próbę nakreślenia wizji „Glinika" w najbliższych trzech latach podjęła **Zofia Zastępa**, kierownik działu analiz i prognoz ekonomicznych.

„Glinik" nie leży na bezludnej wyspie, jego funkcjonowanie uzależnione jest od gospodarki całego kraju. Zdaniem Zofii Zastępy w latach 1989—1992 w polityce gospodarczej Polski będą dominować następujące kierunki: restrukturyzacja gospodarki mająca na celu poprawę efektywności i zmianę struktury produkcji; zaostrzenie polityki fiskalnej prowadzące do poprawy równowagi w gospodarce; liberalizacja reguł funkcjonowania gospodarki i rozwój stosunków rynkowych; dopływ kapitału zagranicznego.

Restrukturyzacja gospodarki

Pojęcie to oznacza przede wszystkim likwidację zakładów o wysokiej energochłonności i materiałochłonności. Zamknięte zostaną także przedsiębiorstwa, których efekty produkcyjne są niewspółmiernie małe w porównaniu do ilości importowanych surowców, jakie wykorzystują. Majątkiem likwidowanych zakładów zarządzać będzie Bank Gospodarstwa Krajowego (reprezentujący Skarb Państwa).

Ograniczy się nakłady na inwestycje centralne w dziedzinie gospodarki paliwowo-energetycznej. Wstrzyma udzielanie długoterminowych kredytów na inwestycje oraz dotacji budżetowych dla przedsiębiorstw. Zakłady pracy będą mogły gromadzić środki na długookresowe programy rozwojowe poprzez emisję własnych obligacji lub zaangażowanie obcego kapitału.

Wiele przedsiębiorstw przekształci się w spółki akcyjne Skarbu Państwa — 20 proc. akcji stanowić będzie pakiet załogi, 60 proc. — fundusz statutowy banków inwestycyjnych (spółki Skarbu Państwa i samorządu terytorialnego), 20 proc. pozostanie pod zarządem Banku Gospodarstwa Krajowego. W takich przedsiębiorstwach jak kolej, elektrownie, zakłady energetyczne, porty, poczty, przedsiębiorstwa przemysłu obronnego — Skarb Państwa zatrzyma 80 proc. akcji. Akcje będą podlegać swobodnemu obrotowi. Najpóźniej do końca 1990 roku utworzona zostanie giełda kapitałowa.

Ważne będzie również wyodrębnienie w ciągu najbliższych lat mienia komunalnego z gospodarki państwowej. Stanowić ono będzie własność miast i gmin, a zarządzać tym mieniem mają organa samorządu terytorialnego.

Polityka finansowa

Polegać ona będzie — między innymi — na likwidacji ulg za eksport; ograniczeniu dotacji w wydatkach budżetowych; ograniczeniu preferencyjnego oprocentowania kredytów; zniesieniu zasady rozliczeń budżetu centralnego z budżetami terenowymi (podatek od wynagrodzeń i podatki lokalne zasilać będą budżet komunalny, budżet centralny przejmie podatek obrotowy w całości, a podatek dochodowy w 95 proc.); nastąpi ograniczenie wydatków budżetowych i reforma systemu podatkowego.

W 1991 r. wprowadzi się podatek od dochodów osobistych. Podstawą opodatkowania będą łączne dochody danej osoby ze wszystkich źródeł. Maksymalne opodatkowanie nie przekroczy 50 proc. wynagrodzenia.

Do 1991 roku podatek obrotowy zostanie zastąpiony przez podatek od wartości dodanej. Zakłada się także obniżenie stawek lub zwolnienie od podatku produktów rolnych, podstawowych artykułów żywnościowych i eksportu.

Natomiast specjalnym podatkiem byłyby obłożone — alkohol, benzyna i wyroby papierosowe.

Kredyty będą udzielane jedynie na krótki okres, a ich oprocentowanie uzależni się od ruchu cen. Rygorystycznie egzekwować się będzie terminy uiszczania należności budżetowych. W przypadkach nieterminowego płacenia należności przedsiębiorstwo może zostać postawione w stan likwidacji.

Mechanizmy rynkowe

Wiele z nich już zaczęło funkcjonować, zwłaszcza zniesienie urzędowych cen żywności i środków do produkcji rolniczej, urzędowych taryf pasażerskich w komunikacji samochodowej. Kontrola cen ograniczy się do egzekwowania przepisów o cenach rażąco wysokich i do przeciwdziałania praktykom monopolistycznym. Od stycznia 1990 roku zniesie się wszystkie ceny urzędowe. Stopniowo ograniczy się dotacje. Od przyszłego roku powinien także funkcjonować jednolity rynek wewnętrzny walut wymienialnych (według kursu w danym dniu).

Dopływ kapitału zagranicznego

Zakłada się zrównoważenie w 1992 roku obrotów bieżących z krajami drugiego obiegu płatniczego poprzez: przyśpieszenie eksportu do pierwszego obszaru (w następstwie restrukturyzacji); wprowadzenie licencjonowania eksportu do pierwszego obszaru; uzyskiwanie kredytów z Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz dogodnych warunków refinansowania naszych zobowiązań płatniczych przez Klub Paryski; rozszerzenie zakresu stosowania walut narodowych i wymienialnych w miejsce rubla transferowego; ujednolicenie w pierwszym obszarze płatniczym kursu handlowego i niehandlowego.

Optymalna strategia rozwojowa „Glinika"

Powinna polegać na wprowadzeniu zmian asortymentowych, zwłaszcza na zaniechaniu wytwarzania wyrobów materiałochłonnych. Należy zweryfikować programy przedsiębiorstwa pod kątem ograniczenia nakładów na inwestycje o charakterze paliwowo-energetycznym. Radykalnej zmianie trzeba poddać politykę inwestycyjną Fabryki, ograniczając inwestycje jedynie do szybko rentujących się przedsięwzięć restrukturyzacyjnych (w oparciu o środki własne).

Należy przestrzegać terminowej regulacji zobowiązań budżetowych i innych. Ważna jest synchronizacja ilości i terminów dostaw materiałów z możliwościami produkcyjnymi, w celu minimalizacji zapasów. Ograniczyć trzeba zakupy materiałów nieprodukcyjnych i bezwzględnie przestrzegać terminowej realizacji planu produkcji. Ważne zadanie na najbliższe lata to skrócenie cyklu produkcji i ograniczenie zakresu rzeczowego robót w toku.

Należy zmniejszyć ilość bieżących zleceń produkcyjnych; zminimalizować import; ograniczyć wydatki na sferę nieprodukcyjną; rygorystycznie egzekwować dyscyplinę pracy i podwyższyć motywacyjną funkcję płac; ograniczyć zatrudnienie w służbach nie uczestniczących bezpośrednio w produkcji; organizować w wydziałach „energochłonnych" pracę zapewniającą optymalne wykorzystywanie urządzeń energetycznych.

Trzeci związek

21 czerwca br. Sąd Wojewódzki w Warszawie wydał orzeczenie o wpisaniu do rejestru związków zawodowych — Związku Zawodowego Inżynierów i Techników o zasięgu ogólnokrajowym. Podstawowym celem, jaki sobie stawiamy, jest obrona interesów zawodowych, materialnych, socjalnych i kulturalnych naszych członków oraz ich rodzin.

Intencją organizatorów Związku Zawodowego Inżynierów i Techników w fabryce jest to, aby nowa organizacja była wolna od przerostów biurokratycznych i opierała się głównie na działalności społecznej.

Związek nasz deklaruje współpracę z innymi związkami oraz organizacjami w zakładzie, których celem jest dobro ludzi pracy.

Członkiem Związku Inżynierów i Techników może zostać każdy, kto posiada tytuł inżyniera lub technika niezależnie od specjalności zawodowej. Naszymi członkami mogą również zostać osoby z wyższym lub średnim wykształceniem zatrudnione na stanowiskach technicznych. Odnosi się to także do emerytów i rencistów „Glinika".

Koleżanki i Koledzy! Zapraszamy do wstępowania do naszej organizacji! Deklaracje i statut znajdują się u **Jerzego Laszczaka** (biurowiec pokój nr 410, tel. 850), **Jerzego Muzyki** (biurowiec pokój nr 320, tel. 358), **Kazimierza Mazurkiewicza** (odlewnia, tel. 360), **Karola Myśliwca** (dział głównego technologa, pokój 103, tel. 663), **Mariana Śliwy** (elektrociepłownia, tel. 755,) **Józefa Podsadowskiego** (dom kultury) oraz u przewodniczących wydziałowych kół Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich.

Za Komitet Organizacyjny
Przewodniczący
Kazimierz Mazurkiewicz

Kto za Lechem?

Słowo „opozycja" zrobiło u nas w ostatnich miesiącach zawrotną karierę, pewnie dlatego, że przez lata było w naszych warunkach nieomal zakazane (terminu tego nie ma nawet w najnowszej edycji czterotomowej Encyklopedii Powszechnej!). Ostatnio jednak sprawa się skomplikowała. Przez pewien czas nie było wiadomo, czy opozycja jest jeszcze opozycją czy już obozem władzy, teraz zaś grozi nam sytuacja, że słowo to znów pójdzie w zapomnienie, bo opozycji na dobrą sprawę nie ma. Przynajmniej w parlamencie. Nawet „solidarnościowi" sprawozdawcy z obrad Senatu narzekają, że wszyscy tam są zgodni ze sobą (jedyny „obcy", senator Stokłosa, jakoś nie rzuca się w oczy), w Sejmie natomiast paleta ugrupowań jest niby spora, ale znów, jak za dawnych lat, wszyscy popierają rząd i poza dramatycznymi pierwszymi głosowaniami posłów będących w konkretnych sprawach przeciw lub wstrzymujących się od głosu liczyć można na palcach jednej ręki. Kto więc będzie patrzył władzy na ręce, przypierał ją do muru, itp.? — martwią się dalekowzroczni publicyści i chyba słusznie.

Skoro dziś znowu nie ma opozycji, wypada przyjrzeć się, jak społeczeństwo zmieniało poglądy na opozycję w czasach, kiedy ona istniała. Materiału do tego dostarcza jeden z ostatnich raportów Centrum Badania Opinii Społecznej. Zawiera on kilka danych, które w swoim czasie trzymane były w tajemnicy, co i tak rzecz jasna opozycji nie zaszkodziło, a raczej pomogło, skoro ledwie zaistniała, już doszła do władzy.

Okazuje się więc, że w latach, kiedy bycie opozycjonistą groziło nie ministerialnym fotelem, lecz więzieniem, zdecydowana większość społeczeństwa była temu przeciwna. Za karaniem politycznych „odmieńców", przeciw zwalnianiu ich z więzień opowiadało się 7, 5 — 8, 6 proc. dorosłych Polaków, kolejne 21 — 27 proc. nie miało w tej materii wyrobionego zdania, reszta zaś pochwalała akty amnestyjne wobec politycznych. Nie znaczy to, że aż taki był już wówczas odsetek sympatyków opozycji. W grudniu 1985 r. działalność ówczesnego podziemia zdecydowanie aprobowało („walczą o słuszne sprawy") 19,3 proc. respondentów. Przychylnie patrzących („wskazując na błędy władzy przyczyniają się do poprawy sytuacji") było 31 proc. Odsetek sympatyków w następnych latach rósł, ale nieznacznie, znacznie za to wzrósł mętlik w naszych głowach podczas strajków w maju 1988 r. Wtedy to odsetki pozytywnych odpowiedzi na wspomniane przed chwilą kwestie sięgnęły 47 — 55 proc., jednocześnie jednak ci sami ludzie, doceniający zalety opozycjonistów, często jak papugi powtarzali, że ich działalność służy wrogom Polski (w maju 88 — 47 proc.) i utrudnia wyjście z kryzysu (39 proc.).

Dopiero podczas strajków sierpnia '88 poglądy społeczeństwa zaczęły się klarować i odtąd rząd dusz przechodził w gestię Lecha Wałęsy i jego ludzi. Widać to na przykładzie odpowiedzi na pytanie, czy słuszne byłoby przywrócenie legalnej „Solidarności". W sierpniu '88 twierdząco odpowiadało 36 proc., a 43 było przeciw. We wrześniu „tak" mówiło 50 proc., „nie" — 27, a w styczniu 89 r. proporcja wynosiła już 70 do 12. W lipcu br. „Solidarność" pozytywnie oceniało 75 proc., jej przeciwnikami było tylko 10 proc. PZPR pozytywnie oceniało 18 proc., negatywnie — 46 proc. Podobny był rozkład odpowiedzi na pytanie, na kogo głosowałbyś w wolnych wyborach (77 proc. na „S", 22 na PZPR).

Interesująco wygląda ranking społecznych ocen „solidarnościowych" polityków. Lider, Lech Wałęsa, miał w lipcu br. 77 proc. sympatyków i 6,7 proc. przeciwników (w listopadzie '88 odpowiednio — 37,6 i 31,4). Na drugim miejscu znalazł się B. Geremek (48,1 za i 6,2 przeciw), potem szli J. Onyszkiewicz i A. Stelmachowski (ok. 36 proc. sympatyków i 7 — 8 proc. przeciwników). Następnie A. Michnik, J. Kuroń i Z. Bujak. Ta kolejność od lipca zapewne zmieniła się (wyjąwszy L. Wałęsę), doszło wszak mnóstwo nowych twarzy, z premierem na czele. Ale czynione w jednostkach budżetowych oszczędności dotknęły także Centrum Badania Opinii Społecznej, zabrakło więc pieniędzy na częste sondaże i dlatego na następne wyniki przyjdzie nam jeszcze poczekać.

MIROSŁAW LIŃSKI

„International Herald Tribune"

OGŁOSZENIA

PRZETARGI

Nadleśnictwo Krościenko 34-450 w Krościenku n/D ul. Trzech Koron 4 tel. 32-97, 30-03 **sprzeda w DRODZE PRZETARGU NIEOGRANICZONEGO następujące pojazdy:**

— Nysa, 552 rok prod. 1983, stopień zużycia 75%, przebieg od początku eksplatacji 133.323 km cena wywoławcza 2. 520.000 złotych.

— Star 224 L rok prod. 1981, stopień zużycia 75%, przebieg od początku eksplatacji 217.196 km. cena wywoławcza 4.035.000 złotych.

Przetarg odbędzie się dnia 25.X.89 o godz. 12 w świetlicy Nadleśnictwa. Samochody można oglądać od 10.X.89 w siedzibie Nadleśnictwa. Wadium w wys. 10% ceny wywoławczej należy wpłacać najpóźniej do godz. 10[00] w dniu przetargu w kasie Nadleśnictwa.
Jednocześnie Nadleśnictwo zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyny.

POSZUKUJĘ dochodzącej pani do prowadzenia domu (trzy dorosłe osoby). Nowy Sącz, tel: 209-19 po godz.20 D-52288

KOMIS — Zakopane Tetmajera 17 zakupi i poszukuje dostawców towarów pochodzenia zagranicznego: sprzętu narciarskiego, technicznego, mebli, samochodów osobowych. Czekamy na oferty. D-52275

POSZUKUJĘ dla ambasady, domu, parceli budowlanej, kamienicy, pensjonatu lub mieszkania z możliwością kupna lub wynajmu, na terenie Zakopanego lub okolicy. Za wskazanie aktualnego adresu kupujący wypłaci nagrodę zastrzegając sobie prawo wyboru. Zakopane, ul. Tetmajera 17 tel: 666-78.

ZAKOPANE! superkomfortowe mieszkanie własnościowe, 3-pokojowe zamienię na dom w Zakopanem lub bliskiej okolicy. Tel: 66-407, w godz. 20-21. Warunki do uzgodnienia. D-52284

NOWY Sącz i okolice! Mechaniczne czyszczenie dywanów, wykładzin, tapicerki — Sowiński, tel. 219-60 D-52290

SZKÓŁKA KRZEWÓW OWOCOWYCH
ANDRZEJ GUZIK
BAŁAŻÓWKA 26
34-601 LIMANOWA

poleca kwalifikowany materiał krzewów owocowych

— **ARONIA**
— **PORZECZKA CZARNA**
— **LESZCZYNA WIELKOOWOCOWA**
— **AGREST**
— **PORZECZKOAGREST**

Sprzedaż od października

— **wysyłkowej sprzedaży szkółka nie prowadzi.**

„SPOŁEM" Powszechna Spółdzielnia Spożywców

w Nowym Sączu

WYNAJMIE

na terenie Miasta Nowego Sącza

LOKAL o powierzchni od 250-300 m²

z przeznaczeniem na magazyn.

Oferty „SPOŁEM" PSS ul. Staszica 7 tel. 204-46

Warszawskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego
i Robót Chemoodpornych „BUDOKOR"

zatrudni

na budowach eksportowych
robotników w zawodach budowlanych, w szczególności:

ZBROJARZY, CIEŚLI, MURARZY.

Adres: Warszawa, ul. Elbląska 14, telefon:33-94-83.
dojazd: z dworca W-wa Centralna — tramwajem 19, 29, 33
z dworca W-wa Wileńska, Wschodnia, Gdańska
— autobusem 103.

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka, (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, telefony: 238-36, 238-90, teleks: 0322748, Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wewn. 161, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.
Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III Kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.
M-9

PIĄTEK 13 X

PROGRAM I

8.35 i 10.00 „Domator"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Dwadzieścia cztery karaty" — film fab. prod. rum.
16.20 Program dnia — telegazeta
16.25 „Rambit" — teleturniej
16.50 „Okienko Pankracego"
17.30 „Raport"
17.55 Reportaż z „Polagry"
18.25 „Stop"
18.45 „Specjalnie na weekend"
19.00 „Kret i lizak"
19.10 „Monitor rządowy"
20.05 „Psie serce" — film fab. prod. ZSRR
22.15 „7 dni — kraj"
22.45 „Otwarte studio"
23.45 DT — echa dnia
24.00 „Otwarte studio"

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego"
18.30 Program publicystyczny
18.50 Program rozrywkowy
19.30 „Dookoła świata" — „W Londynie"
20.00 Magazyn „Piątek"
21.45 „Kiedy Litwa budzi się" — reportaż
22.15 „Udręka Yakuzy" — film prod. jap. — reż. Masato Harada
23.55 Komentarz dnia

SOBOTA 14 X

PROGRAM I

8.00 „Tydzień na działce"
8.20 „Na zdrowie"
9.00 „Drops" i „Postrach miasta" (3) — serial
10.30 DT — wiadomości
10.40 Wojskowy program publ.
11.10 „Wyprawa pod podszewkę Alp" (1) — „Amerykański komandos pod Częstochową" — serial dok.
11.45 Magazyn „Powiększenie"
12.05 „Szkoła mistrzów" — Krzysztof Zanussi
12.25 „Malta — wyspa powracającego czasu" — film dok. prod. UNESCO
13.05 TTP — Melchior Wańkowicz „Monte Cassino"
14.50 „Do trzech razy sztuka": M. Wilhelmi, J. Iwaszkiewicz, J. Kosiński
15.20 „Telewizyjny Informator Wydawniczy"
15.35 „Szczęściarz Antoni" — komedia
17.30 „Defilada" — film dok.
18.30 „Butik"
19.00 „Przygody misia Colargola"
19.10 „Zwierzęta naszych marzeń"
20.05 „Purpura i czerń" — film sens. prod. ang.-włos. reż. Jerry London, wyk.: Gregory Peck, Christopher Plummer, John Gielgud
22.25 Tel. przegl. sportowy
22.45 „Tydzień w polityce
22.55 Śpiewa Saarah W.
23.20 Telegazeta
23.25 „Tom Horn" — western prod. USA wyk.: Steve McQueen, Linda Evans, Richard Famsworth

PROGRAM II

10.00 „Tele-9"
14.10 „5 — 10 — 15"
15.35 „W świecie ciszy"
16.00 „Odpuśćcie nam nasze winy" — film dok.
16.25 Telewizyjny koncert życzeń
16.55 Powitanie
17.00 „Za chwilę dalszy ciąg programu"
18.30 „Wielka gra"
19.30 „Alfa i omega" — „Kosmiczna Odyseja"
20.00 „Fantazja polska" — Orkiestra Wojska Polskiego
21.00 „Polagra '89"
21.45 „Muzyka i polityka" (2)
22.25 „Chateauvallon" (23)
23.20 Komentarz dnia

NIEDZIELA 15 X

PROGRAM I

7.45 „Po gospodarsku"
8.15 „Tydzień"
9.00 „Teleranek": „Janka" (4) — „Trick z procą" — serial
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Zwierzęta Europy" (1) — serial prod. franc.
11.05 „Kraj za miastem"
11.45 Video top
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 Teatr dla dzieci: „Do góry nogami", cz. 1
13.30 Sportowa niedziela
15.10 „Antena"
15.35 „Panna dziedziczka" (23)
17.30 Alfred de Musset „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte"
18.10 „Obywatel G.C. — live"
19.00 „Siostrzeńcy Kaczora Donalda"
20.05 „Pod zegarem w Biltmore" — film prod. ang.
21.35 „7 dni — świat"
22.05 Sportowa niedziela

na ekranie TV

Stałe pozycje: pr. I 17.15 Teleexpress, 19.30 Dziennik; **pr. II** 18.00 Kronika (z wyjątkiem niedzieli), 21. 30 Panorama dnia.

22.25 „Prosta pozioma" — reż. Kristian Przysiecki
23.05 Telegazeta

PROGRAM II

8.50 „Przegląd tygodnia"
9.25 „Pod zegarem w Biltmore" — film prod. ang. (dla niesłyszących)
10.50 „Satysfakcja" — wojsk. pr. publ.
11.20 Lokany koncert życzeń
11.45 „Jutro poniedziałek"
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 „100 pytań do..."
13.10 „Madame Butterfly" w Łodzi — reportaż
13.30 „Niebezpieczna zatoka" (11 i 12)
14.25 „Polacy" — film dok.
15.05 Podróże w czasie i przestrzeni (6-ost.)
15.55 Gawęda prof. W. Zina
16.10 „Zbliżenia, czyli to i owo o filmie"
17.00 Studio sport
17.30 „Bliżej świata"
19.00 „KOR — osiem lat później" — spotkanie z J.J. Lipskim
19.30 „Galeria 37 milionów" — Jurij Czaryszników
20.00 Piłka w grze
20.50 „Ballada o drodze"
21.45 „Wojna i pamięć" (8)
23.05 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK 16 X

PROGRAM I

16.20 Program dnia — telegazeta
16.25 „Luz" — pr. nastolatków
17.30 „Gorące linie"
18.00 „Istambuł" — film dok. prod. UNESCO
18.45 10 minut
19.00 „Ja ci jeszcze pokażę"
19.10 „W Sejmie i Senacie"
20.05 TT na świecie — Malcolm McKay „Przesłuchanie Johna"
21.35 „Jego wysokość dolar"
22.15 Złota Tarka '89
22.45 DT — echa dnia
23.05 Język francuski (1)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (1)
17.30 Antena „Dwójki"
17.45 „Ojczyzna-polszczyzna"
18.30 „Czarno na białym"
19.10 „Alchemik" — rep. z prapremiery filmu
19.30 „Życie muzyczne" — FPP — Słupsk '89
20.00 „Auto-moto-fan-klub"
20.30 „Osądźmy sami"
21.15 „Rozmowy o cierpieniu"
21.45 Biografie
22.45 Jacek Stwora — „Co jest za tym murem"
23.05 Komentarz dnia

WTOREK 17 X

PROGRAM I

8.35 i 10.55 „Domator"
9.15 DT — wiadmości
9.25 „Cyklon Tracy" (3-ost.)
16.20 Program dnia — telegazeta
16.25 „Tik-Tak" i „Cudowna podróż"
17.30 „Spojrzenia"
17.55 „Klinika zdrowego człowieka"
18.15 „Mozaika narodowości"
18.45 10 minut
19.00 „Wesołe przygody Pika..."
19.10 Pr. publ. (o chlebie w Braniewie)
20.05 „Cyklon Tracy" (3-ost.) film fab. prod. austral.
21.35 „Leksykon p. m. r." — „S"
22.40 Studio „Solidarność"
23.25 DT — echa dnia
23.45 Język rosyjski (1)

PROGRAM II

10.00 „Tele-9"
16.55 Język angielski (1)
17.25 Program dnia
17.30 „Klub ludzi z przeszłością"
18.30 „Zmęczone miasta" — film dok.
19.30 „Blisko nieba"
20.00 „Requiem" W.A. Mozarta — w 140 r. śmierci Fryderyka Chopina
21.10 „Zatrzymane w kadrze"
21.45 „Przypadek" — pol film fab. reż. Krzysztof Kieślowski
23.40 Komentarz dnia

ŚRODA 18 X

PROGRAM I

8.35 i 10.15 „Domator"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Dorota" — film TP
16.20 Program dnia — telegazeta
16.25 „Kameleon"
16.50 „Wyprawy prof. Ciekawskiego"
17.30 „Sensacje XX wieku"
18.00 „Dawniej niż wczoraj"
18.30 „Żyć" — magazyn ekologiczny
18.45 10 minut
19.00 „Porwanie Baltazara Gąbki"
19.10 Program publ.
20.05 II runda EP w piłce nożnej
22.05 „Kuchenka" — widowisko muz.
22.45 „Wódko, pozwól żyć..."
23.15 DT — echa dnia
23.35 Język angielski (1)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (1)
17.25 Program dnia
17.30 „Z życia clowna" — reportaż
18.30 „Moje serce zostało we Lwowie" — film dok. A. Czerniakowskiej
19.00 „Hotel Zacisze" (2)
19.30 „Zwierzęta wokół nas"
20.15 Umberto Giordano w La Scali — „Andrea Chenier" akt 1 i 2
21.45 „W labiryncie" (42)
22.15 „Telewizja nocą"
23.00 Komentarz dnia

CZWARTEK 19 X

PROGRAM I

8.35 i 10.20 „Domator"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Glina z wyższych sfer" (3)
16.20 Program dnia — telegazeta
16.25 „Kwant" oraz „Świat, w którym żyjemy"
17.30 „Poligon"
17.55 Film dokumentalny
18.25 „Mieszkać"
18.45 10 minut
19.00 „Przygody rozbójnika Rumcajsa"
19.10 „Teraz"
20.05 „Glina z wyższych sfer" (3) — serial ang.
21.00 „Pegaz"
21.40 „Czas"
22.10 Recital Krystyny Prońko
22.35 DT — echa dnia
22.55 Język angielski (31)

PROGRAM II

10.00 „Tele-9"
16.50 Język rosyjski (1)
17.20 Program dnia
17.25 „Skarby kultury polskiej" — Józef Chełmoński — film dok.
18.30 „Szanghaj — miasto otwarte" — reportaż
19.00 Magazyn „102"
19.30 „Przyroda polska — Łąka" — film dok.
20.15 Umberto Giordano „Andrea Chenier" akt 3 i 4
21.45 Studio teatralne „Dwójki" — Elias Canetti „Wesele"
23.35 Komentarz dnia

(CIĄG DALSZY ZE STR. 16)

do książek i drukarni. Pani Jakubowska ma dość własnych córek, aby przyjmować obcą osobę do księgarni.

Smutek Dominiki udzielił się i mnie. Dotąd nie znalazła miejsca w życiu i coraz częściej uzmysławiam sobie, że już go nie odnajdzie. Czas leci, Dominika skończyła trzydzieści lat, murowana stara panna. Nie mam uprzedzeń do panien, które nie wyszły za mąż, gniewają mnie ironiczne uśmiechy czy pogardliwe spojrzenia kierowane w ich stronę, ale w przypadku Dominiki odrzucanie kandydatów było jakieś nienaturalne i zagadkowe. Co właściwie ma Dominika z życia? Suknie i kapelusze? Prakseda miała przynajmniej pasję, a ta nic, kompletnie nic. Może w Krakowie byłaby szansa umieszczenia jej w księgarni? Antoś ma tylu znajomych. Ale myśl o opuszczeniu domu przez córkę wywołała niemiłe skojarzenia i na razie nie napisałam o tym synowi.

Zamknęłam pamiętnik, bo przyszła Honorka i usiadła w kuchni przy Femci. Przyniosła modny fason na ślubną suknię umieszczony w czasopiśmie warszawskim. Uryżanka nadal szyje z Femcią, mają dużo klientek i solidność ich wykonawstwa jest znana. Femcia kupiła niedawno maszynę z czółenkiem obrączkowym, o której marzyła kilka lat. Honorka nauczyła się kroju i w razie bólu nóg córki — zastępuje ją.

Trzy lata minęły od śmierci Floriana, a Honorka codziennie, niezależnie od pogody, w skwar i zamieć, w deszcz i wichurę, chodzi na jego grób. Poprosiła stryjenkę, żeby nie wynajmowała facjatki i urządziła w niej kapliczkę poświęconą pamięci zmarłego. Duża fotografia Floriana w srebrnych ramkach stoi na honorowym miejscu otoczona asparagusami. Zgon Floriana zmienił Uryżankę: stała się bardziej poważna i skupiona, często zamyśla się i izoluje od większego grona. Przestała chodzić na festyny i potańcówki.

5 września 1900 r.

Joachim martwi się odejściem Julci ze sklepu i usiłuje namówić Bognę do zajęcia jej miejsca. Córka nie chce stać za ladą, nie pociąga jej handel, woli zajęcia domowe. Bogna mi dużo pomaga, umie gotować i piec, nie stroni od robótek kobiecych. Chętnie myje okna, szoruje podłogi, nie ociąga się z wykonaniem różnych prac. Nie widziałam, aby mizdrzyła się przed lustrem, jak Dominika, i wymykała na ukradkowe spotkania. Bogna jest pogodna, naturalna, miła i skromna, nie ma wygórowanych aspiracji, życie przyjmuje spokojnie. Od dawna zauważyłam szczególną słabość Joachima do Bogny. Z wyglądu przypomina mu utraconą w dzieciństwie matkę. Poza tym Bogna ujmuje grzecznością, posłuszeństwem i zachowaniem swoim może zaskarbić miłość rodzicielską. Nie odznacza się uderzającą urodą, ale jest ładna, ma regularne rysy, świeżą gładką cerę, bujne ciemnobląd włosy, wiśniowe usta i duże oczy koloru niemal granatowego, o nieco melancholijnym spojrzeniu.

W czerwcu Bogna skończyła osiemnaście lat i zdążyła już odrzucić dwóch starających się. W ubiegłym roku na weselu Justynki poznała kolejarza z modelarni w warsztatach, który zaczął niby to przez znajomość z Walkiem nas odwiedzać i wnet oświadczył się o nią. Odrzuciła jego konkury właściwie bez podania powodu. Potem poznała na festynie syna mistrza piekarskiego z ulicy Długosza, bardzo sympatycznego młodzieńca, którego rodzice wkrótce do nas przyszli i byli zachwyceni naszą córką. Syn jest jedynakiem, cały majątek na niego przejdzie, mają ładny dom. Wszyscy byliśmy mu przychylni, z wyjątkiem Bogny. Piekarzowie zmartwili się rekuzą Bogny niemniej niż ja. Czy i ona pójdzie w ślady Praksedy i Dominiki, odrzucając konkurentów?

Pod wieczór poszłam do Maryjki. Bardzo lubię do niej chodzić, podoba mi się u nich. Mała Marianna i Arturek otoczyli mnie i wyciągnęli z uciechy rączki. Zabrałam ze sobą Jadwiżkę. Dziewczynka ma już dziesięć lat i taka z niej mądrala, wesolutka, trzpiotka, tylko krasy nie posiada takiej jak pozostałe córki. Może z wiekiem wyładnieje? Uczy się dobrze.

6 września 1900 r.

Niespodziewanie przyjechał Ludomir. Przenocował i rano pojechał furmanką do Podegrodzia. Przywiózł z Tarnowa ważny list dla pana Brandysa, kierownika szkoły ludowej w Podegrodziu. Syn należy do Towarzystwa Zakładu Błogosławionej Kunegundy, które powstało w 1892 roku z okazji jubileuszu w Starym Sączu. Uchwalono wtedy wybudowanie szkoły gospodarczej dla dziewcząt w Podegrodziu. Kilka lat trwają zabiegi o pozyskanie funduszy na ten cel. Towarzystwo działa różnie, raz wolniej i leniwiej, raz energiczniej i z zapałem. W lutym tego roku odbyło się w Nowym Sączu drugie walne zgromadzenie członków towarzystwa i powołano nowe władze. Prezesem został emerytowany od roku profesor gimnazjalny, pan Ludwik Małecki, wielce ofiarny człowiek i społecznik. Sekretarzem wybrano pana Zygmunta Brandysa. Do władz wszedł też Józef Maciuszek i inni panowie, jakiś ziemianin, kilku księży. Prezesurę Rady Nadzorczej powierzono księdzu infułatowi Alojzemu Góralikowi. Ludomir jest aktywnym członkiem towarzystwa (nie wszedł do zarządu, gdyż mieszka w Tarnowie).

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jak uratować zająca?

W Czechosłowacji opracowano urządzenie chroniące zwierzęta przed skutkami prac polowych. Mocuje się je na kabinie traktora, na wysokości 75 cm od ziemi. Podczas koszenia i innych robót aparat wydaje sygnały dźwiękowe i świetlne, które przepędzają zające, kuropatwy, bażanty. Nie wiadomo tylko, jak hałas i migotanie wpływa na kondycję traktorzystów.

Spuścizna Edisona

Wydawnictwo jednego z uniwersytetów amerykańskich rozpoczęło publikację wszystkich dokumentów pozostawionych przez genialnego wynalazcę. Dorobek Edisona jest wręcz niewiarygodny, w ciągu 84 lat życia uzyskał 1039 patentów wynalazczych. W jego archiwum znajdują się 4 miliony stron notatek, w tym 250 tys. wykonanych przez niego osobiście schematów i rysunków technicznych. Możliwości człowieka, jak widać także w pracowitości, są wręcz niewyobrażalne.

Francuskie hobby

Okazuje się, że najpopularniejszym hobby Francuzów jest filatelistyka. W dwóch tysiącach organizacji zarejestrowanych jest oficjalnie ponad 4 miliony członków. Liczbę niezorganizowanych zbieraczy ustalić nie sposób. Co ciekawe, 40 procent francuskich filatelistów stanowią kobiety.

Plomba z komputera

Stomatolodzy w RFN zaczynają w swej pracy wykorzystywać komputery. Po wstępnej obróbce zęba przy pomocy maszyny borującej specjalne urządzenie elektroniczne dokonuje oceny parametrów ubytku. Dane przesyła na komputer, który po przetworzeniu przekazuje je robotowi. Ten w ciągu kilku sekund wykonuje plombę o żądanych rozmiarach i kolorze. Jak na razie jedyną wadą tej technologii jest wysoka cena. Ale znając drogi postępu można przyjąć, że za kilka lat plomba z komputera stanie się codziennością.

Jabłoń bez gałęzi

W stacji doświadczalnej w brytyjskim hrabstwie Kent wyhodowano jabłoń bez gałęzi. Owoce rosną bezpośrednio na pniu. To dziwaczne drzewko ma wiele zalet: zajmuje bardzo mało miejsca, zbiór jabłek można przeprowadzać przy pomocy maszyn.

Rekordowe zdanie

Najdłuższe na świecie zdanie napisał Szwajcar Ours Blaser. Składa się ono z 4284 słów. Poprzednim rekordzistą był Niemiec Kristian Ressper, który stworzył jednozdaniowy esej o Bismarcku, złożony z 2183 słów.

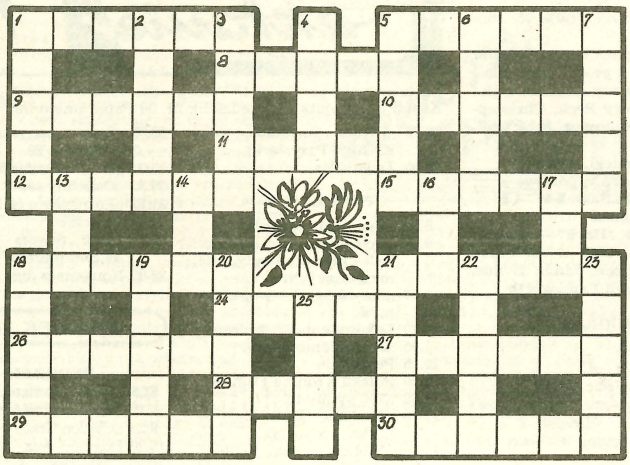

KRZYŻÓWKA NR 41

POZIOMO: 1) przełęcz w Tatrach Wysokich, 5) bogini praw i sprawiedliwości, 8) muza miłosnej poezji, 9) bienik, 10) mleko bułgarskie, 11) tytuł szlachecki w Indiach, 12) archegonium, 15) prawodawca ateński, 18) grzyb jadalny, 21) niemiecki obóz jeniecki, 24) państwo w Afryce, 26) dwumetyloketon, 27) gra hazardowa, 28) bagienny las nadrzeczny, 29) owoc południowy, 30) naczynie na ciasta, owoce.

PIONOWO: 1) źródło mineralne w Krynicy, 2) drapieżnik morski, 3) materiał na pieluszki, 4) jednostka długości w krajach anglosaskich, 5) trująca bylina, zawiera akonitynę, 6) czarnoksięstwo, 7) pierwiastek promieniotwórczy, 13) fizyk niemiecki, badacz zjawisk elektrycznych i akustycznych, 14) pierwiastek chemiczny, 16) sposób wykonywania kultu, 17) rzeka z piosenki, 18) gwara amerykańska, 19) rzadki metal stosowany głównie do utwardzania stopów platyny, 20) najwyższy punkt na niebie, 21) dzieli budynek na kondygnacje, 22) magmowa skała żyłowa, 23) narzędzie tnące do pielenia chwastów, 25) syn Dedala.

Rozwiązania prosimy przesyłać do dnia 20 października br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 39

POZIOMO: 1) przekonanie, 7) rozmarzenie, 8) witka, 10) ruten, 12) Ariel, 13) apasz, 15) temat, 18) pokładanie, 19) stenografia, 22) skarb, 24) kebab, 26) pagon, 27) morał, 29) rygor, 31) straganiarz, 32) dziennikarz.

PIONOWO: 1) parówka, 2) zrzut, 3) kramarz, 4) Nazaret, 5) nonet, 6) eternit, 9) kasak, 11) ulewa, 14) prostak, 16) anilina, 17) warga, 20) nerpa, 21) Ateny, 22) samosąd, 23) bałagan, 24) koronki, 25) barszcz, 28) rurki, 30) gwara.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 39, w wyniku losowania nagrody otrzymują: **Honorata Tokarska** z Nowego Targu i **Jan Noder** z Zakopanego.

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

HOROSKOP

BARAN: staraj się łagodzić wszelkie konflikty, nie prowokuj do rozwijania się sporów, bo najczęściej źle na tym wychodzisz — nic na tym nie stracisz.

BYK: jeśli do tej pory było wszystko dobrze, to po co teraz próbujesz to wszystko popsuć — za często wybuchasz w sprawach drobnych i tego nie wartych.

BLIŹNIĘTA: już niedługo odczujesz znaczną poprawę swojej sytuacji, a więc nie wpadaj w irytację — pomyśl o kimś ci najbliższym, może warto bardziej się nim zainteresować.

RAK: dobre samopoczucie to wspaniałe, niech ci tylko nie przesłoni rzeczywistego obrazu świata — nie daj się zwieść temu, że wszytko idzie dobrze.

LEW: jeśli lubisz kierować innymi, to do każdego musisz dostosować swój styl, inaczej możesz mieć wielu wrogów — najczęściej takich, którzy w oczy nic złego ci nie powiedzą.

PANNA: usuwasz się w cień, nie chcesz być widziany, robisz trochę z siebie „ofiarę losu" — takich ludzi nie lubią, bo nie wiedzą, co w nich drzemie.

WAGA: trudno sprowokować cię do gorących uczuć i ktoś kto na to liczył może się zniecierpliwić — rozważ, czy nie będziesz tego żałował.

SKORPION: wszystkiego można się nauczyć, trzeba tylko chcieć i mieć cierpliwość — zaangażowanie się w jedno przedsięwzięcie pociąga za sobą konieczność rezygnacji z innych przyjemności.

STRZELEC: porównanie wyobrażeń o tym, co będzie, z rzeczywistością często jest bardzo bolesne i trzeba być na to przygotowanym — narzekaniem nic nie zdziałasz.

KOZIOROŻEC: ktoś kto cię podtrzyma na duchu, pomoże, wysłucha — nie próbuj tylko od razu się rewanżować, bo może to zostać źle odczytane.

WODNIK: wszystko może się zdarzyć, szczęście cię nie opuści nawet w najbardziej skomplikowanych sytuacjach — nie przejmuj się drobnymi potknięciami, najważniejsze, żeby osiągnąć cel.

RYBY: potrafisz sobie zjednać ludzi, oczarować ich, zdobyć sympatię — ale często później nie przywiązujesz do tego wagi, nic dziwnego, że nabierają do ciebie rezerwy.

GABRIELA R. DANIELEWICZ (123)

Pamiętnik sądeczanki

Julcia z narzeczonym robią furorę na ulicy, noszą się po pańsku i mimo, że nie patrzą na sąsiadów z góry, wzbudzają respekt. Strojna Julcia i wytworny pan Anzelm stanowią piękną parę. Femcia uważa to za szczególny uśmiech losu dla Julci. Zastanawiam się, czy ja tak myślałam kiedyś o związkach swych dzieci?

W ubiegłym roku na wiosnę wydaliśmy za mąż Justynkę. Poślubiła tokarza z warsztatów kolejowych. Zaczęło się od potańcówki, skończyło po roku przy ołtarzu. Wesele wyprawiliśmy ciche i skromne, ciągle jeszcze z uwagi na żałobę po Praksedzi. Nasz nowy zięć Makary ma dużo zalet i lubimy go. Młodzi zamieszkali w kolonii kolejarskiej. Justynka okazała się dobrą gospodynią, radzi sobie świetnie, urządziła ogródek warzywny i kwiatowy przed domem, wszystko u niej lśni, może to śmieszne, ale nawet pogrzebacz czyści do połysku. Co jakiś czas odwiedzamy ich w niedzielę i jest to wyprawa na pół dnia. Przed miesiącem córka powiła chłopczyka i dali mu na imię — Hieronim. Rzadko spotykane imię, dziwnie brzmiące, jakoś majestatycznie i obco. Z wnuków przybyła nam jeszcze Idalia, córeczka Antosiów, moja chrześniaczka.

27 sierpnia 1900 r.

Nowy Sącz ozdobiono dziś kwiatami i zielenią z powodu przybycia do miasta jego Ekscelencji Pana Namiestnika hrabiego Leona Pinińskiego. Witano go przed południem uroczyście. Namiestnik zwiedził ratusz i wygłosił mowę. Honory pełnił nasz nowy burmistrz, pan Władysław Barbacki, adwokat. W lutym zrezygnował z urzędu poprzedni burmistrz i wybrano pana Barbackiego. Ludzie pokładają w nim duże nadzieje, ciągle łudzą się zmianami na lepsze. Pan Władysław Barbacki jest bardzo przystojny, postawny i okazały. Brunet, bardzo elegancki, w sile wieku. Sama jego fizjognomia wskazuje na silny i zdecydowany charakter. Podoba mi się żona burmistrza, pani Helena z Lippayów, delikatna, ciemnowłosa, o ujmującym uśmiechu. Pamiętam ją jako ulubienicę mojej ukochanej nauczycielki, panny Emilii Bronikowskiej. Pan Barbacki dał się poznać jako wzięty adwokat z dobrej strony, może nie zawiedzie i jako burmistrz? Państwo Barbaccy mają kamienicę tuż przy urzędzie pocztowym. Na przyjęcie Pana Namiestnika przeznaczono podobno 800 koron i Rada Miejska wezwała ludność do przybrania domów, wyrażając w ten sposób podziękowanie hrabiemu za przybycie do naszego miasta.

30 sierpnia 1900 r.

W drogerii pana Tadeusza Kwicińskiego spotkałam panią Cecylię Klimkową, wdowę po sekretarzu Rady Miejskiej. Wybierałyśmy mydło, ja kupiłam magnezję i proszek do mycia zębów. Pani Klimkowa żaliła mi się na Radę Miejską. Odmówili udzielenia jej zapomogi, o którą się zwróciła. Wdowa czuje się pokrzywdzona , a w mieście mówią głośno o jej zbyt częstych podaniach o wsparcie. Nie wiem, co o tym sądzić, czy cierpi niedostatek czy nie? W każdym razie postawiła mężowi grobowiec, a my nie możemy zdobyć się na uczczenie pamięci Praksedy nagrobkiem.

Dominika wróciła do domu z wiadomością o przyznaniu koncesji Henryce Färber na restaurację i kawiarnię na Zakamienicy. Ciekawe, czy będzie to przyzwoity lokal, gdzie mogą zjawić się porządni ludzie, czy podejrzana knajpa? Nowa siedziba ochlapusów i mordownia? Obecna przy rozmowie Julcia oświadczyła, że nie wierzy w powodzenie spokojnego lokalu w tym miejscu. Czy nie wystarczy przykład wrzaskliwej, posiadającej złą sławę karczmy „Piekło"? Na pewno i nowa restauracja okaże się punktem zbornym dla awanturników. Julcia ma rozeznanie w tej materii, bo chodzi niekiedy w niedzielne popołudnia z narzeczonym do cukierni pana Ignacego Szczepanika (która należała przedtem do pani Marii Moskwy) i chwali panujący tam nastrój. O czyś podobnym na Zakamienicy nie ma co marzyć.

Tego samego dnia Dominika zwierzyła mi się z pragnienia, które niestety nie ma szans na spełnienie. Córce podoba się praca w księgarni. Uważa ją za ciekawą, rozszerzającą myśli, pożyteczną, nie to co ważenie mąki i kaszy, krojenie sera, cięcie materiału i dobieranie guzików. Wzorem dla córki jest pani Teresa Jakubowska. Odkąd po śmierci męża przed dwoma laty objęła księgarnię, Dominika chodzi tam często i ogląda książki. Przyznałam córce słuszność, księgarstwo to wzniosłe zajęcie, Joachim też całe życie wzdychał

(CIĄG DALSZY NA STR. 15)